

SAT-OKH

BIAŁY MUSTANG

BAŚNIE I LEGENDY INDIAŃSKIE

Gdybyście mnie zapytali, skąd te dzieje i legendy z wonią lasów pomieszane, z rosą wilgotnych prerii i z wigwamów snującym się dymem, z biegiem wielkich rzek, z ich dzikim brzmieniem, podobnym do grzmotów w górach - odrzekłbym wam, odpowiedział:

Z lasów, prerii i z wielkich jezior Północy z krainy Odżibwejów, z krainy Dakotów. Z gór, wrzosowisk i bagnistych pól, gdzie dziki ptak Shuh-shuh-gah karmi się wśród trzciny i sitowia.

Powtórzą wam, jak je słyszałem z ust Nawadaha, muzyka i słodkiego bajaranza.

Gdybyście zapytali Nawadaha, skąd te opowiadania i legendy, odpowiedziałby wam:

Z leśnych ptaszyczych kryjówek, z domków bobrów, tropów niedźwiedzi, ze spojrzenia orła, władcy błękitnych przestworzy.

Całe dzikie ptactwo śpiewa je wam: Mahung - żuraw, dzika gęś - Wawa, siwa czapla - Shuh-shuh-gah i głuszc - Mushko-dasa.

Gdybyście mnie pytali, kim był Nawadaha, odpowiedziałbym wam takimi słowami:

W cichej zielonej dolinie Tawasenta, nad piękną rzeką, przy malowniczym zboczu mieszkał bajaranz Nawadaha.

Wokół wioski indiańskiej zieleniły się łąki haftowane kolorowym kwieciem, a za nimi wyrastał las, śpiewająca puszcza. Zielona w lecie, biała w zimie i zawsze radosna.

Rozwidlenie rzeki, które znajdowało się w dolinie, zarastało wiosną sitowiem, latem olszyną, a jesienią okrywało się białą mgłą, zimą zaś odcinało się od śniegu czarną linią.

W tej to dolinie Tawasenta śpiewał Nawadaha baśnie i legendy. Wy, co kochacie piękno natury, co kochacie chłodny cień lasu i światło słońca pośród łąk, wiatr wśród gałęzi, deszczową ulewę i zawieję śnieżną, bieg wielkich rzek poprzez palisady leśne i huk pioruna w górach, którego zwielokrotnione echa trzepotają się jak orły w swoich gniazdach - posłuchajcie tych dzikich opowiadań i legend.

Wy, którzy kochacie legendy narodowe, którzy kochacie ludowe ballady, jak głosy z daleka wołające do nas, by przystanąć i posłuchać, co mówią w słowach tak prostych i dziecinnych, że zaledwie ucho może odróżnić, czy są śpiewane, czy też mówiane - posłuchajcie tych indiańskich legend.

Wy, których serca są czyste i proste, którzy znacie wiarę w życie i naturę, którzy wierzyacie, że we wszystkich wiekach każde serce ludzkie jest sercem człowieka, że nawet w najdzikszych tonach kryją się żale, pragnienia i tęsknoty za dobrem - posłuchajcie.

(Z „Pieśni o Hajawacie” H. W. Longfellowa)

HANUAUTE

Pewnego razu, w pogoni za górskimi kozami, zapędziliśmy się wysoko w góry. W wyprawie tej prowadził nas doświadczony myśliwy, a zarazem nasz opiekun i wychowawca, Owases - Dziki Zwierz.

Było nas razem dwunastu chłopców, w wieku od dziesięciu do czternastu lat - ja należałem do tych najmłodszych.

Od paru dni goniliśmy po górach za kozami. Byliśmy zmęczeni, zakurzeni i podrapani o ostre skały. Trud nasz jednak został wynagrodzony - upolowaliśmy cztery dorosłe kozy i jedno małe kozłatko.

Zwyktemu śmiertelnikowi mogłoby się to wydać marną i śmieszną zdobyczą, trzeba jednak wiedzieć, jak trudno jest podejść dzikie kozy między gołymi skałami, bez broni palnej, tylko z łukiem. Zwierzęta te posiadają tak czuły słuch i tak doskonale znają wszelkie odgłosy, że potrafią na przykład odróżnić toczenie się po skale kamienia strąconego przez człowieka lub zwierzę od kamienia, który sam oderwał się od skały.

Szalone skoki kozie lub dziki bieg po stromych urwiskach, mają w sobie coś zadziwiającego. Nieraz byliśmy świadkami, jak całe stado rzucało się w wąwóz o stromych ścianach głębokości stu, a może i więcej metrów. Gdy pierwszy raz człowiek widzi coś podobnego, ulega złudzeniu, że kozy popełniają jakieś zbiorowe samobójstwo. Skacząc zygzakowato ze ściany na ścianę, opadały coraz niżej i w ciągu paru sekund uciekały dnem wąwozu.

Pewnego dnia, gdy tak uganiailiśmy za zdobyczą, nagle rozległ się ostry gwizd kościanej świstawki Owaspasa. Był to znak, abyśmy przzerwali polowanie. Po czwartym gwizdnięciu usłyszeliśmy miarowe bicie w bębenek, z którym nasz wychowawca nigdy się nie rozstawał.

Miarowy rytm bębna prowadził nas do miejsca, gdzie Dzikie Zwierzę wybrał nam obozowisko.

Była to niewielka dolina osłonięta wysokimi skałami, doskonale chroniącymi przed mroźnym nocnym wiatrem, usiana odłamami skał i porośnięta ciemnobrunatnym mchem. Gdziekolwiek rosły skarłowaciałe sosny, pomiędzy których wystrzelały samotne jodły.

Na skraju doliny znajdowało się jezioro ciemne, spokojne, bez żadnej zmarszczki na powierzchni, z trzech stron obramowane stromymi ścianami. Od naszej strony brzeg stopniowo i łagodnie obniżał się aż do samego jeziora. Na widok wody uradowaliśmy się ogromnie, przeżywając już w myślach wspaniałą kąpiel w chłodnym górskim jeziorze.

Jednak pierwszym naszym obowiązkiem było nazbierać tyle drzewa na opał, aby starczyło na całą noc. Dopiero gdy uporaliśmy się z tym, śmiało ściągnęliśmy swoje legginsy i już bieглиśmy do wody, gdy nagle zatrzymał nas ostry głos Owasesa:

- Stać, jeśli nie pragniecie własnej śmierci.

Zadziwiły nas te słowa.

Dlaczego mielibyśmy przez kąpiel w górskim jeziorze ściągnąć na siebie Ducha Śmierci? Przecież już w tyłu rzekach i w tyłu jeziorach kąpaliśmy się i nigdy nam nie zabroniono, a teraz kiedy jesteśmy tacy brudni, nie wolno!

Bardziej zdziwieni aniżeli przerażeni, zawróciliśmy. Usiedliśmy wokół rozpalonego ogniska i czekaliśmy, co też nam powie Owases.

Mimo że ciekawość nas rozsadała, zgodnie z panującym u nas obyczajem nie zadawaliśmy pytań starszemu.

Milczenie trwało długo. Dopiero gdy nasz nauczyciel wypalił fajkę, a Duchy Zmarłych rozpalily ogniska na ciemnym niebie - zaczął mówić.

„Minęło już wiele zim i wiele Wielkich Słońc upłynęło od chwili, gdy tu w górskiej wiosce żyło potężne plemię Iwaho. Słynne z piękności były kobiety tego plemienia, a wojownicy silni i twardzi jak skały, między którymi rodzili się i umierali.

Nie stroili się oni w pióra, tak jak to my czynimy. Ubrania robili ze skór szarego niedźwiedzia, którego wojownik musiał sam ubić, zanim otrzymał imię. Dopóki nie zdobył skóry grizzly, nie miał prawa do stroju wojownika i nie miał nazwiska. Indianie Iwaho nosili na głowach skalpy bizonie z cienko szlifowanymi rogami, które otrzymywali od plemion z równin za sól i żółty metal ozdobny. Wodzem tego plemienia był dobry i mądry Soomakh. Mówili o nim, że mając dziewięć Wielkich Słońc, gołymi rękami udusił górskiego niedźwiedzia.

Dzielny był Soomakh, toteż w młodym wieku został wodzem. Za żonę pojął piękną i gospodarną Ujanoh.

Wielki Duch był łaskawy dla tipi wodza i obdarzył go cudną córeczką Hanuaute.

Piękne są góry przy zachodzie słońca, ale wobec urody jego córki najpiękniejsze szczyty skał, oświetlone promieniami słońca, szarzały i nikły. W nocy zaś gwiazdy bladły i uciekały, gdy ukazywała się Hanuaute.

Gdy wieść o jej piękności rozniosła się po równinach i plemionach, najślawniejsi wojownicy poczęli zjeżdżać na ziemię Iwaho, aby poznać piękną Hanuaute. A kto ją zobaczył, nie chciał już wracać do swojego plemienia, pragnął zostać przy niej na zawsze.

Soomakh starzał się z każdym dniem, ramię jego stawało się coraz słabsze, pragnął więc jak najprędzej doczekać się wnuka, któremu mógłby przekazać swoje doświadczenia i w którego ręce mógłby złożyć losy plemienia.

Hanuaute jednak, wiedząc o swojej urodzie, stała się dumna i kapryśna. Na wszystkich patrzyła lekceważąco, a im więcej wojowników i młodych wodzów przyjeżdżało, tym bardziej była dla nich opryskliwa.

Latem każdego wieczoru uciekała nad brzegi jeziora i tu przy blasku księżyca podziwiała swoje odbicie w tafli wodnej.

- Ciebie kocham, Ciemna Wodo - szeptała - ty mi pokazujesz prawdziwą moją twarz, którą nad wszystko wielbię. Ty, księżycu, otaczasz moją postać blaskiem swej tarczy, najczulej pieścisz mnie swoimi promieniami. Cóż mi więcej do szczęścia potrzeba?

Gdy przychodziła zima i mróz skuwał powierzchnię jeziora lodem, Hanuaute smutniała, nie wychodziła z namiotu i nikogo do siebie nie wpuszczała. Z nastaniem wiosny, gdy ciepłe promienie słońca roztopiały lody jeziora, dziewczyna wybiegała na brzeg i dziękowała słońcu, że zniszczyło mroźny płaszcz i że znowu może podziwiać się w wodnej tafli.

Śmiała się przy tym radośnie, biegała, klękała nad brzegiem jeziora wpatrując się w swoje odbicie. Zostawała tam dniami i nocami, nie pokazując się w wiosce. Żywiła się rybami, jajami wybieranymi z gniazd i ptakami, które ustrzeliła z łuku.

Daremnie czekali na nią wojownicy, daremnie czekali wodzowie z wielkich równin. Zniechęceni powracali na swoje ziemie.

Stary ojciec rozgniewał się w końcu na córkę, zwołał radę starców, na którą sprowadzono znad jeziora zarozumiałą i upartą dziewczynę.

Na wielkim placu narad zasiedli starzy wodzowie, którym czas głowy pobielł jak letnie słońce korę brzożową. W olbrzymich rogach bawolich, okryci skórami niedźwiedzimi, ozdobionymi frędzlami - wyglądali dumnie, a zarazem strasznie.

Poważny nastrój udzielił się całej wiosce - cisza panowała dookoła, nawet psy, zwykle hałaśliwe, pochowały się po kątach. Przed czarownikiem leżała czaszka bizona z czerwono barwionymi rogami. Biel kości lśniła w blaskach ognia niby odbicie drugiego księżyca. Twarz czarownika, pomalowana na czarno, nie zdradzała żadnych uczuć, tylko oczy błyszczały groźnie i gdyby nie były przysłonięte powiekami, wyczytać by można w nich wyrok, który miał spaść na głowę dziewczyny. Rozległ się ponury głos bębna i wkrótce na plac wprowadzono Hanuaute.

W blaskach ognia stanęła dumnie, nieruchoma niby posąg kamienny, nie okazując ani pokory, ani strachu.

Bębny zamilkły. Wodzowie milczeli. W głuchej ciszy słychać było tylko trzask palących się polan.

Gwałtownym ruchem czarownik wznosił w górę głowę, spojrzął na dziewczynę, lewą rękę oparł na czaszce bizona, prawą wyciągnął przed siebie i głębokim, powolnym głosem począł mówić:

- Zaklinam cię, Hanuaute, na zanurzone w krwi rogi bizona, na ogień, który wszystko niszczy, a zostawia popiół szary niby pył w czarnych górach.

Zaklinam cię, Hanuaute, na ciemności nocy, gromy i błyskawice, zaklinam cię na potężne pazury szarego niedźwiedzia, które kruszą skały.

Zaklinam Cię i nakazuję ci, abyś poślubiła pierwszego wojownika, który zjawi się przed twoim namiotem i zaśpiewa pieśń weselną.

Żąda tego rada wodzów. A jeśli sprzeciwisz się naszej woli, zginiesz między skałami, a ciało twe rozszarpią sępy.

Dziewczyna nie zlekła się jednak wcale ponurej groźby czarownika.

- Oj wy, starzy wodzowie - zaśmiała się głośno - widocznie lata starości przysłoniły oczy wasze, a siwizna głów waszych wyssała wam rozum z głów, że żądacie ode mnie rzeczy, której nigdy nie będzie. Powiedz mi - zwróciła się do czarownika - czyż nie jestem taka piękna, jak mówi mi o tym woda jeziora? Powiedz mi i ty, ojczy, czyż moja uroda nie jest tak wielka, że zmusza ptaki do śpiewu?

- Uff, piękna jesteś, Hanuaute - odrzekli obydwaj starcy.

- Jeżeli więc jestem piękna, to nie mogę zostać żoną żadnego wojownika, zaczekam, aż przyjdzie po mnie sam Nanabosho i jego żoną zostanę. On tylko, Duch Lasów, jest godny pojąć mnie za żonę.

W chwili gdy to powiedziała, płomień buchnął w górę, aż pod szczyty sosen, wiatr porwał dym z ogniska i rzucił go między skały, jak podarty strzep kory brzozy, a z góry z głośnym przeraźliwym krzykiem spadł ogromny czarny sęp, rzucił się na zuchwałą dziewczynę i porwał ją w swe szpony.

Wszystkich ogarnęło przerażenie. Nim zdążyli zrozumieć, co się stało, sęp unosił się już wysoko, przysłaniając czarnymi skrzydłami błyszczące gwiazdy, aż znikł w ciemnościach nocy.

Gdy zza gór wyrzało słońce, oświetlając szczyty skał, wioska plemienia Iwaho była pusta, nawet psów w niej nie było. Wszystko, co żyło, pobiegło ku brzegom jeziora, gdzie zwykle przebywała dumna Hanuaute.

Wysoko w górze, nad środkiem jeziora, unosił się sęp z dziewczyną w szponach.

Przerażeni ludzie padli na kolana, a psy, podkuliwszy ogony, przywarły mocno do ziemi. Bo oto, jak gdyby z jeziora lub z głębi skał, rozległ się głos:

- Słuchajcie mnie, ludzie Iwaho! Ukaralem Hanuaute za jej pychę i głupotę. Będzie odtąd przebywała na dnie jeziora, aż przyjdzie tu człowiek o białej twarzy, który rozsądzi skały i spuści wody. Hanuaute przejdzie wtedy do Krainy Spokoju...

Was i ludzi wszystkich plemion ostrzegam, abyście omijali z daleka to miejsce, gdyż Hanuaute, jako zła władczyni jeziora, będzie mścić się na każdym żyjącym człowieku. Wysłuchajcie ostrzeżenia i zapamiętajcie słowa Nana-bosho...

Gdy głos umilkł, przerażeni ludzie ujrzeni, jak puszczony przez sępa ciało Hanuaute padło z pluskiem do wody.

Jezioro zadyszało, fale uderzyły gniewnie o brzeg, jak gdyby nie chciały przyjąć dziewczyny. Powoli jednak powierzchnia wygładziła się i znieruchomiła, tylko woda zmętniała i pociemniała, a wreszcie stała się zupełnie nieprzejrzysta.

Ludzie długo jeszcze stali nad brzegiem, nieruchomi i zadumani.

Ciężkie milczenie przerwał wreszcie czarownik:

- Odejdźmy stąd. Dziewczyna została ukarana. Oby nigdy w naszym plemienu nie było podobnych kobiet. Wielki Duch zabrał nam ją, bo tak chciał. Opuśćmy te strony na zawsze. A jezioro to od dziś będzie nazywać się Hanuaute.

Niedługo potem plemię Iwaho zwinęło swe namioty, wywędrowało z gór. Nigdy już żaden myśliwy tego plemienia nie stanął nad brzegami jeziora Hanuaute”.

Ognisko powoli dogasało, kiedy Owases kończył swą opowieść.

- Od tamtej chwili Hanuaute mści się na każdym człowieku i każdym żyjącym stworzeniu, które pragnie zanurzyć swe ciało w chłodnej wodzie tego jeziora. Tam, po prawej stronie, gdzie znajduje się najniższy brzeg, leżą kości obdarte z ciała przez sępy. To ofiary Hanuaute. Idźcie tam i przekonajcie się.

POWSTANIE CZŁOWIEKA

Na ogromnej czerwonej skale, wyrosłej pośród zielonej prerii jak samotny obłok na czystym niebie, siedział Wielki Duch - Gichy Manitou.

Palił w zadumie fajeczkę - kaluti, ulepioną z czerwonej świętej gliny, i patrzył na rozległe prerie. Pośród wonnych stepów pasły się stada brodatych, garbatych bizonów, z dala zaś od nich, między wysoką trawą, leżały szare wilki czatujące na samotną, młodą i niedoświadczoną krowę.

Tu i ówdzie przemykały pośród traw antylopy, aby na moment przystanąć, popaść się trochę i znowu bez powodu czmychnąć pośpiesznie. Chyżość ich nóg, ostrożność i czujność ratowała je przed groźnymi wilkami, i niemniej dla nich groźnymi, choć mniejszymi, szakalami. Widział też Wielki Duch szare sępy uczujące na ścierwie bizonim, niedokończonych uczcie wilczej.

Dalej, znów tam, gdzie niebo styka się z ziemią, rozpościerała się zielona, ogromna puszcza, utkana jeziorami i pocięta rzekami jak siecią pajęczą. Potężne drzewa sięgały niemal chmur. Brzozy wysmukłe odcinały się białością pni od ciemnych sosen i świerków, splecione gałęzie niby w braterskim uścisku tworzyły baldachim chroniący ziemię-rodzicielkę przed palącymi promieniami słońca.

Między korzeniami drzew wygrzewały się jadowite grzechotniki, obojętne na wszystko dookoła, ufne w swój straszliwy jad.

Lasy były królestwem niedźwiedzi, pum, rysi, jeleni i różnych mniejszych zwierząt o bogatym futrze. Bliżej jezior i bagien ukrywał się wyniosły i dumny łoś - władca błot. W błotach tych gnieździło się rozkrzyczane, różnobarwne ptactwo.

Czasami pośród szuwarów przybrzeżnych lub sitowia przemykał rudy lis jak czerwona błyskawica, po chwili rozlegał się krzyk mordowanej przez niego ofiary, trzepotanie, szum skrzydeł spłoszonych mieszkańców topielisk, a po chwili znowu ogarniał mokradła gwar ptasiej mowy i zapomnienie po dokonanym zabójstwie. Czajki tylko dłużej niż inne ptaki kołowały w powietrzu i żałośnie kwiliły, aż w końcu i one opadały w trawy, a rudy lis wyciągał się w cieniu krzewów przybrzeżnych i oblizywał pysk po odbytej uczcie.

Zwinne jelenie schodziły do rzeki, aby ugasić pragnienie. Zanurzały aksamitne chrapy w chłodną, przejrzystą wodę, ale co chwila wyrzucały w górę głowy uzbrojone w ostre rogi i bystrym wzrokiem przyglądały się okolicy. Przy boku ich szły łanie ze swoimi małymi.

Gdy w pobliskich brzozech rozległ się trzask gałęzi, rodzina jelenia, spłoszona, w mgnieniu oka zniknęła w zielonej gęstwinie drzew. To bobry ostrymi zębami ścięły jedną z brzoź na budowę swych kopulastych domów.

Nagle ostry trzask bobrzego ogona o wodę, ostrzegawczy znak strażnika, poderwał pracujące bobryjdo ucieczki. Wygładziły się zmarszczki na powierzchni wody i nic już nie zdradzało, że przed chwilą trwała tutaj gorączkowa praca.

Na brzegu ukazała się wydra, najgorszy wróg bobra, powiodła dokoła znudzonym wzrokiem i cicho znikła w krzakach.

Patrzył na to wszystko z wysokiej Góry Wielki Duch i dumał, a z jego fajeczki unosił się dym - pukwana, który na niebie układał się w wielkie chmury.

Nie tylko oczy Wielkiego Ducha widziały wszystko, ale uszy jego słyszały każdy szmer listka i trawy, słyszały odgłos spadających kropel rosy i szum wiatrów w konarach drzew. Słyszały, jak zwierzęta przechwalają się między sobą siłą i odwagą.

Panowało tu prawo kłów i pazurów, a każde zwierzę chciało być władcą lub królem. Zwierzęta wyły, ryczały, szczekały jedno przez drugie.

- Ja jestem władcą puszczy, kto chce się równać z moją siłą? - ryczał niedźwiedź, a na dowód swej mocy wyrывał młode drzewa z korzeniami i zdierał potężnymi pazurami korę. - Kto potrafi wywracać głazy i rozbijać jednym ciosem czaszki bizonom? Ja jestem władcą puszczy!

- Przestań, przestań, zimowy śpiochu, zjadaczu pędraków! - zawyły wilki. - To przed nami zmykają stada bizonów, jelenie i łosie. Gdy rozlegnie się nasz zew łowiecki, milkną i cierpną ze strachu zwierzęta na prerii i w puszczy, a ty także, niedźwiedziu, schodzisz nam z drogi jak ruda wiewiórka, co kryje się na drzewie. Na widok naszej łowieckiej hordy więcej strachu jest w twoim wielkim łbie aniżeli rozumu.

- Och, nie chwal się tak bardzo, szary wyjcu - syknęła puma i wyciągnęła swe sprężyste ciało na konarze klonu, ostrymi pazurami z cichym trzaskiem drapiąc pień. - Ze strachu przed moimi kłami i pazurami zamieniłbyś się, gdybyś mógł, w ślepego kreta i znikł pod ziemią. Słynę z drapieźności i zwinności, a więc przede mną schylajcie swe głupie łby!

Westchnął głęboko Wielki Duch, a od jego tchnienia pochyliły się drzewa w puszczy, a nasiona zerwane z gałęzi padły daleko od swoich rodzinnych lasów.

Skierował teraz wzrok na błękitne jeziora, na rzeki szumiące. Nastawił ucha i słuchał, co też mówią ryby.

Lecz i tutaj panowała kłótnia o władanie w głębinach.

Szczupak, machając ogonem, dawał do zrozumienia, że to on, a nie kto inny, jest władcą podwodnej krainy.

- Z mojej paszczy jeszcze nie uszedł nikt - mówił. - Zęby moje znane są we wszystkich jeziorach i rzekach, a nawet wodne ptactwo lęka się mnie i z daleka omija.

- Co tam twoje zęby znaczą - machnął lekceważąco płetwami jesiotr - Nahma. - Na moich tarczach kościanych skruszą się twoje zęby niby w jesieni przybrzeżne sitowie. Boisz się mnie zaatakować, a więc jestem potężniejszy od ciebie i wody są moją własnością.

- Rzeki i jeziora do mnie należą - powoli rzekł olbrzymi rak - Shawgashee, ruszając ogromnymi kleszczami. - Ja jestem waszym wodzem i nie lubię, jak mi się ktoś sprzeciwia. Słyszycie mnie, głupie ryby! Na pierwszy znak protestu z waszej strony potnę was na części jak zbutwiałe kawałki drzewa.

Nie mógł już dłużej znieść tych kłótni i grózb Wielki Duch. Odwrócił ze smutkiem głowę, wypuścił z fajki wielką pukwanę, która niby olbrzymia chmura zasłoniła słońce.

Ciemno zrobiło się dookoła i strach padł na leśne stworzenia. Ustały właśnie i cisza zapanowała na świecie.

Wśród tej ogromnej ciszy i ciemności jak wielki grzmot rozległ się głos Gichy Manitou:

- Wysłuchajcie mnie, leśni bracia, i wy, siostry w głębinach jezior i rzek, wysłuchajcie mnie, skrzydlaci przyjaciele spod błękitnych niebios! Ja, stwórca wasz, Gichy Manitou, dosyć mam już waszych swarów i kłótni. Stworzę człowieka, który będzie silniejszy od was, mocniejszy i zwinniejszy. Będziecie drżeli przed nim jak osika, a serca wasze napęlni strach na widok jego śladów. Gdy go zobaczycie, dusze wasze będą się kurczyć, niby jesienny zeschnięty liść. Nie będzie mu straszna puszcza pełna waszych kłów i pazurów, niestraszne będą mu głębiny jezior ani szczyty skał, na których gnieźdzą się orły i sępy. Stanie do walki z wami i będzie władcą waszym sprawiedliwym po wszystkie czasy.

Wielki Duch dmuchnął w niebo i rozwiął chmury, które jak białe łabędzie uciekły spłoszone. Znów wyjrzało słońce. Wokół pióropusza Stwórcy latały kolorowe motyle i ptaki.

Siedział Wielki Duch i palił swoją fajkę, a gdy mu się skończył tytoń - kenin-kenik, począł znosić kamienie, z których zbudował wielki piec. Wtedy poszedł na brzeg lasu i zbierał tam chrust, a z prerii zeschnięty nawóz bizoni i trawy pożółkłe od słońca. Przez cztery

dni i cztery noce zbierał opał, a gdy miał już dostatecznie dużo, położył się na szczycie skały i odpoczywał po dniach pracy.

Gdy Wielki Duch spał, do sterty chrustu przypełził jadowity grzechotnik. Wśliznął się między zeschnięte gałęzie, spryskał je jadem i zostawiwszy swoją starą skórę, wypełził spomiędzy rudych badyli i znikł w zielonych trawach prerii.

Wielki Duch obudził się wraz ze wschodzącym słońcem i zabrał się do pracy. Napełnił kamienny piec chrustem, a z nim razem włożył (nie wiedząc o tym) skórę grzechotnika i gałęzie zwilżone jadem. Wreszcie na przygotowany stos położył ulepionego z gliny człowieka i podpalił gałęzie. A gdy zajęły się płomieniem, pomyślał:

„Zanim wypalę swoją kaluti, gotów będzie człowiek, by żyć na ziemi”.

Potem usiadł w pobliżu pieca i spoglądał na prerie i lasy, w których miał zamieszkać przyszły ich władca.

Dym z fajki prostym słupem unosił się w górę i rozptywał w błękitnym niebie. A kiedy ostatnia pukwana znikła w powietrzu, Wielki Duch wstał, zbliżył się do pieca i wyjął człowieka. Ale za krótko widać trzymał go w ogniu. Człowiek był blady, o słabych mięśniach, mało wytrzymały, a jad i skóra grzechotnika sprawiły, że człowiek ten odznaczał się złym charakterem, podłym sercem i podwójnym językiem węża.

Nie o takim władcy świata myślał Manitou, nie takiego pragnął stworzyć.

Rozgniewany schwycił niedopaloną i nieudaną kukłę i rzucił ją w złości hen, za Wielką Słoną Wodę.

I tak powstał człowiek biały.

Na nowo zabrał się Wielki Duch do pracy i ulepił z gliny drugiego człowieka.

Przez cztery dni i przez cztery noce znosił drzewo z boru, lecz tym razem wybierał tylko gałęzie sosnowe.

Kiedy już drzewo ułożył i skrzesał ogień, poczuł wielki głód, który jak szakał szarpał mu wnętrzności. Poszedł więc Gichy Manitou w głąb puszczy, aby pożywić się jagodami i owocami leśnymi i ugasić pragnienie źródlaną wodą.

Gdy powrócił do podnóża skały, poczuł swąd i zobaczył unoszący się z pieca ciemny, gęsty dym. Podbiegł Wielki Duch do wielkiego kamienia zasłaniającego palenisko, odsunął go na bok i z wnętrza wyciągnął człowieka.

Był przepalony, cały czarny.

Sosnowe drzewo żywiczne, paląc się szybko, zwęgliło się i dymami okopciło ciało glinianego mężczyzny.

Mięśnie tego człowieka były mocniejsze, lecz duch słaby, a serce królicze.

„Taki człowiek nie może być panem lasów i prerii. Nie o takim marzyłem” - pomyślał Gichy Manitou.

Ujął więc spalonego człowieka i rzucił hen, za Wielką Wodę, tam gdzie pionowo świeci słońce.

I tak powstał człowiek czarny.

A Wielki Duch po raz trzeci przystąpił do pracy.

Poszedł więc znowu do puszczy i wybierał najlepsze, najczystsze kawałki drewna, po czym z wielką starannością ulepił z czerwonej gliny człowieka smukłego, zgrabnego, o dumnie podniesionej głowie i ostrych rysach twarzy.

Wkładając do pieca kawałki drzewa, mówił:

- Biała kora brzozy uczyni stopy twoje lekkimi i szybkimi. Gałęzie dębu dadzą moc i siłę całemu twojemu ciału. Modrzew powiąże mięśnie twoje mocno, aby odporne się stały na wysiłek i trud.

Oblewając drzewo wonną smołą i żywicą, mówił:

- Nie przejmie cię chłód nocy, a zimmem nie zmrozi ci krwi okrutny wiatr północny. Przejdziesz zapachem lasów i do nich będziesz należał tak, jak do nich należy niedźwiedź i wilk, puma i ryś, lis i bóbr.

Będziesz tworzył z puszczą jedną całość, a gdy wyginą lasy - zginiesz i ty. Gdy wyginą na preriach bizona, zginiesz i ty, bo należec będziesz do puszczy i prerii. A gdy one umrą, ty powrócisz do mnie.

Ułożył na wonnych gałązkach leśnych glinianego człowieka i dotknął drewna świętej kaluti.

Płomień buchnął wysoko, okrywając ognistymi językami nowoulepioną postać.

Wielki Duch czuwał przy kamiennym piecu i gdy nadeszła chwila, że człowiek dostatecznie już był wypalony, skinął prawą ręką. Wtedy na ogień osiadła mgła rzeczna, która zgasła czerwone płomienie. Stwórca wyjął z pieca człowieka o pięknych, posągowych kształtach i uśmiech zadowolenia rozjaśnił mu twarz.

I tak powstał człowiek o skórze koloru brązu.

Miał on w sobie moc lasów i siłę dębu. Mięśnie jego błyszczały w promieniach słońca, a wiatr igrał w jego czarnych włosach.

Ujął Wielki Duch za rękę młodego wojownika i wprowadził go na szczyt góry, a wskazując na puszcze i prerie, rzekł:

- Daruję ci lasy i stepy, dam ci rzeki, jeziora i góry, dam ci wszystko, co się w nich znajduje. Jesteś gospodarzem, rządz się sprawiedliwie i kochaj naturę. Nie podnoś rąk na brata, bo wtedy powrócą ludzie, których wyrzuciłem za Wielką Wodę, i zagarną twoje ziemie.

Umrze wtedy preria i puszcza, a wraz z nią umrzesz i ty. Idź, zbuduj sobie tipi i zamieszkać w nim, a o pierwszej pełni księżyca zejdzie po promieniu do twego namiotu kobieta, która stanie się twoją żoną.

Po tych słowach uniósł Wielki Duch dłoń do góry, pożegnał młodego wojownika i rozplynął się w pukwanie.

BIAŁY MUSTANG

Na ziemiach Tawasenty w plemienu Dakotów, u sławnego czarownika, Niedźwiedziego Kłosa, wychowywał się chłopiec. Wybrał go czarownik spośród wielu innych, gdyż wyróżniał się on wielką siłą, stronił od rówieśników, pogardzał ich zabawami, wołał sam, w ukryciu przed wzrokiem ludzkim, ćwiczył się w rzucaniu tomahawkami, w władaniu nożem i oszczepem.

Gdy miał dziesięć lat, chwycił na łąso galopującego konia i osadzał go w miejscu, co nie zawsze udawało się doświadczonym myśliwym. Z każdym dniem wyrabiał w sobie coraz większą siłę i zwinność.

Bystre oczy starego czarownika od dawna już śledziły jego czyny. Dobrze wiedział, że chłopiec mógłby być w przyszłości wielkim wodzem lub czarownikiem. Postanowił więc zrobić z niego godnego siebie następcę i zabrał go do swego tipi.

Mały Uti przeszedł dzielnie próbę krwi i po raz pierwszy, krwawiąc z otwartych ran powstałych podczas wtajemniczenia, odtęczył przy blasku księżyca taniec mężczyzny. Dano mu wtedy imię Ostry Wiatr.

Gdy po wielu latach nauki posiadał wszystkie moce zaklęć i mądrość swego nauczyciela, postanowił wybrać się w góry, aby zdobyć żonę, piękną Pahajo. Mieszkała ona na wielobarwnej tęczy, a jesienią i wiosną wskazywała drogę dzikim ptactwu, które wędrowało z północy na południe i z południa na północ.

- Piękna jest Pahajo - mówiła mu matka, gdy wstępował do namiotu rodziców. - Włosy jej sięgają do samej ziemi, a na czole jaśnieje wielobarwna opaska mieniąca się wszystkimi barwami świata. Kto ją zdobędzie za żonę, szczęśliwy będzie, gdyż Pahajo przynosi szczęście i ma władzę nad dzikim ptactwem i wodami spadającymi z nieba. Lecz aby się do niej dostać, trzeba być wielkim wojownikiem, bo drogi do niej strzegą złe duchy. Jeśli pojmie ją ktoś za żonę, złym duchom grozi zagłada i strącenie w odwieczne ciemności.

Pilnuje jej również ojciec, stary Duch Górskich Wodospadów. Jego trzeba prosić o rękę Pahajo. Zgodzi się on oddać córkę swoją tylko wojownikowi o męźnej duszy, czystym sercu, wielkiej odwadze i sile, nie znającemu strachu, złości i podwójnego języka jaszczurki.

Mieszka on w granitowej skale, która znajduje się na ogromnej górze, a skałę potrafi otworzyć tylko ten, kto ma w sercu prawdziwą odwagę i prawdziwą miłość do Pahajo.

Nasłuchiwał się tych opowieści Ostry Wiatr i całymi dniami myślał, w jaki sposób pokonać te wszystkie przeszkody. Pewnego dnia, po wielkim deszczu, gdy barwniejsza niż zawsze była tęcza, Ostry Wiatr rzekł do swojej matki:

- Matko, przygotuj mi pełen kołczan strzał, przygotuj farby, abym mógł pomalować ciało swe w wojenne barwy, naostrz mi tomahawk i nóż, bo idę w wysokie góry, aby walczyć ze złymi duchami. Muszę dotrzeć do Ducha Górskich Wodospadów i prosić o rękę córki, aby przywieźć tobie synową. Muszę po drodze pokonać złe duchy, aby więcej nie było zła na świecie.

Matka spojrzała na syna, na jego krucze warkocze spadające na ramiona i okręcone skórą grzechotnika, na ostre, wyraziste rysy twarzy, na zaciśnięte mocno usta. Zajrzała w oczy jego czarne, które świeciły jak dwie gwiazdy na ciemnym niebie. Objęła wzrokiem jego piersi wypukłe, sklepione wysoko jak dwie Marcze wojownika, ramiona mocarne, które niedźwiedzim szczęki wyłamywały. Popatrzała na nogi jego silne niby dwa dęby, szybkie, jelenia w biegu doganiające, i odezwała się:

- Jedź, synu, i uwolnij nasze szczepy od złego, a dzieci i kobiety błogosławić będą w pieśniach twoją dobroć i odwagę.

Zanurzyła palce swoje w żółtej farbie i wymalowała poprzeczne pasy na ciele syna. Wzdłuż twarzy pociągnęła czarne linie, łączące się z białymi przy nosie i razem już biegnące poprzez usta na brodę. Sadłem niedźwiedzim wysmarowała włosy młodzieńca i podała mu pemikan - wysuszone i starte na proszek mięso.

- To na drogę, abyś głodu nie zaznał.

Ostry Wiatr wdział legginsy obszyte na szwach frędzlami, bogato haftowane i ozdobione kolcami jeżozwierzą mokasyny, ujął w ręce pióropusz, w którym każde pióro świadczyło o bohaterskim czynie. Pęczki puszystych piór oznaczały ilość zabitych wrogów, nacięcia na szypułkach i czerwono barwione rysunki zdradzały, ile ran zadał Ostry Wiatr swym wrogom i jak często sam bywał ranny.

Wspaniale wyglądał młodzieniec na tle namiotu swego ojca. Czaszki niedźwiedzie i jelenie, skóry wilcze i rogi bizonie, broń zdobyta na wrogach, maczugi, siekiery, oszczepy, łuki, tarcze sporządzone z siedmiu warstw skóry czarnego niedźwiedzia - wszystko to świadczyło o dzielności.

O, wielkim był myśliwym i wojownikiem Ostry Wiatr!

Gdy przygotowania były ukończone, młodzieniec wybrał najlepszą broń, wyszedł przed tipi i trzy razy zagwizdał przeciągle. Na znak ten ozwało się w drugim końcu wioski radosne rżenie i pod namiot przybiegł czarny mustang.

Młody wojownik jednym skokiem znalazł się na jego grzbiecie.

Odwrócił się jeszcze do matki, pożegnał ją uśmiechem i wyciągniętą dłonią i śpiewając pieśń wojenną ruszył w drogę.

Znikł już poza wielkimi złomami skał, a matka wciąż jeszcze stała przed namiotem i patrzyła w kierunku, w którym odjechał jej syn. Z dala dobiegały coraz cichsze słowa wojennej pieśni:

Oczy moje widzą wielu wrogów - ukrytych, mściwych, łaknących krwi. Giętki łuku, napręż swą cięciwę, ostra strzało, pokaż śmierci szlak...

Ostry Wiatr przemierzał na swym koniu spowite w kwiaty prairie, przejeżdżał wioski stepowych Indian, witany wszędzie z szacunkiem i radością. Sława jego biegła przed nim i otwierała mu drogę do każdego plemienia.

Po długiej wędrówce znalazł się w odległej puszczy. Była już późna jesień. A gdy śnieg pokrył białym futrem drzewa i ziemię, przybył do wioski zamieszkałej przez złe Czarne Duchy.

Zsiadł z konia i po cichu zaczął zbliżać się do wielkiego tipi, w którym paliło się ognisko. Wtem ze śniegowej jamy wyskoczył olbrzymi wilk ze zjeżoną na grzbiecie sierścią i wyszczerzonymi kłami. W gardle jego zagrzemiał groźny, zduszony bulgot. Ostry Wiatr spojrział na niego i rzekł:

- Zawrzyj pysk, leśny bracie, nie odważ się zawyc! Na twe wilcze plemię zaklinam i rozkazuję ci, abys natychmiast zasnął w swej śniegowej jamie!

Wilk podwinął ogon pod siebie, wygiął grzbiet w łuk, spuścił łeb; w milczeniu, drżąc na całym ciele, usłuchał rozkazu młodego czarownika.

Indianin przysunął się do namiotu duchów cicho, bez szelestu, niby lekki wietrzyk. Wyciął w skórze tipi mały otwór i zajrzał do środka.

Groźny Kabinoka - władca północy - otulony w białe futra, o śnieżnych warkoczach, o oczach z brył lodu, siedział ze swymi wiatrami i mrozami pod ścianą i dmuchał w lodowe flety.

Małe, groźne i bezgłowe May-may-gwenis biły w bębny, a z wnętrzości ich wydobywał się przeraźliwy śmiech, przy którym nawet pale namiotu kurczyły się ze strachu.

Duchy jadowitych węży leżały pod ścianą w straszliwych kłębowiskach i słuchały Pieśni Piszczeli, którą śpiewał Duch Śmierci - Ken Manitou, w pióropuszu z żeber ludzkich i zwierzęcych siedzący na stosie trupich czaszek.

Obok bardzo stary Duch Górskich Lawin, o potężnych dłoniach i rozwianych włosach, nucił pieśń Czarnego Boga z Lodowatej Góry.

Nagle Ostry Wiatr jednym pociągnięciem noża rozciął skórę namiotu i wskoczył do środka.

Czarne Duchy urwały swoje pieśni ponure, a srogi Kabinoka podniósł się z kąta i krzyknął:

- Ktoś ty? Wilk mój każdego obcego wyczuje i na strzępy rozerwie, a na ciebie nawet nie warknął i pod tipi pozwolił ci podejść! Ktoś ty? Mów!

- Jestem wielkim czarownikiem - odpowiedział Ostry Wiatr. - Przybyłem tu do was nie bez mądrości i siły, nie bez zaklęć dobrych duchów, nie bez szczepu mego wiedzy. Wilk nie zawyje na mój widok, Kabionko, gdyż matka moja kąpała mnie w letnie noce po cztery razy, a w noce zimowe po osiem razy, abym nauczył się Pieśni Rzek i nią od zła się odgradzał. Śnieg obsypywał zimą me nagie ciało i mroził mięśnie moje, abym odporny był na wasze czary i silny jak stado bizonów, które tratuje na drodze swojej wszystko. Po stronie mojej jest dobroć, ciepło i słońce, uśmiech, radość i mądrość, więc walczmy ze sobą, a zobaczymy, kto zwycięży.

I zaczął Ostry Wiatr śpiewać pieśń wojenną swojego plemienia, a ile chwalebnych czynów młodego czarownika było w pieśni, tyle ogromnych kamieni przygniatało nogi złym duchom, aż znieruchomiały pod stosami głazów.

Ostry Wiatr zatańczył taniec zwycięstwa wokół uwięzionych duchów i chwycił je w swoje ręce, i rozrzucał po jeziorach bezrybnych, po pustyniach piaszczystych, po lasach ciemnych i rzekach burzliwych.

- Nie będziecie już więcej dokuczać ludom w gromadzie, a pojedynczo nie zaszkodzicie gorącym i prawym sercom ludzkim. Żyćcie tam w samotności i gnuśności, niech pleśń i mech okryje ciała wasze, jak zwalone i zgniłe pnie starych drzew.

Gdzie tylko upadł zły duch, tam drzewa stawały w płomieniach, głazy pękały od gorącego i złego oddechu, wody burzyły się i grzmiały rozbiły o kamieniste brzegi.

Ostry Wiatr rozpędził wszystkie duchy. Zostawił tylko jednego, bardzo, bardzo starego Isokę, w czarnym jak noc pióropuszu.

- Dzielny wojownika, czemuś mnie oszczędził? - zapytał staruch.

- Bo jesteś bardzo stary i już nikomu nie możesz zaszkodzić. Dlatego zostawiam cię w spokoju.

Isoka odszedł ze zwieszoną głową, powłócząc ciężko nogami, a gdy skryły go pobliskie drzewa, pobiegł młodzieńczym krokiem aż nad Czerwoną Rzekę i wśród ogromnych bloków skalnych zaczął się na młodzieńca.

Ostry Wiatr zniszczył namiot, dosiadł konia i udał się jeszcze wyżej w góry, do Ducha Wodospadów.

Wiele dni jechał teraz w stronę ostrych szczytów, pokonując bystre rzeki górskie, przebywając ciemne kaniony, pełne jadowitych grzechotników. Nie bał się ich Ostry Wiatr, gdyż zaklęcia jego były potężne. Potrafiły wywoływać ze szczelin jadowite węże i usypiać je piosenką, a jego mustang kopytami miażdżył napelnione jadem łby.

Przebywał górskie przełęcze pełne groźnych, szarych niedźwiedzi, lecz schodziły mu one z drogi, bojąc się siły zaklęć i potężnego tomahawka, którym lepiej władał niż one pazurami i kłami.

Nawet lawiny cofały się w górę na jego widok.

Siódmego dnia Ostry Wiatr dojechał do czarnej skały, w której mieszkał władca wodospadów, Gachaskh.

Młody czarownik spojrzął na skałę, której wierzchołek krył się w chmurach. Objechał ją dookoła trzy razy, lecz wszystkie jej ściany były straszliwie strome - nie do zdobycia. Wrócił więc na poprzednie miejsce, przyłożył dłonie do ust i wydał trzykrotny krzyk orła.

Echo odbiło się w górach trzy razy po trzy, a potem znów zaległa cisza, w której słyszał bicie własnego serca. Zsiadł z konia, puścił go wolno i czekał trzy dni i trzy noce. Kiedy na ponowny krzyk orła nie otrzymał odpowiedzi, wyjął zza pasa tomahawk i z całej siły uderzył nim o skałę. Ogromna skała zadrżała i powoli zaczęła rozsuwać się na dwie części.

W olbrzymiej grocie siedział na stosie niedźwiedziach skór Duch Wodospadów, otulony derką, tkaną przez jego córkę z promieni księżyca i słońca, jakby pogrążony w wiecznym śnie.

Ostry Wiatr podniósł dłoń do góry na znak pokoju i wkroczył do środka.

Stara, pomarszczona i okolona srebrnymi włosami głowa nie poruszyła się. Dopiero po dłuższej chwili starzec podniósł z wolna powieki i spojrzął swymi mądrymi, starymi oczami w twarz młodzieńca.

- Czego pragniesz, wojowniku?

Głos jego zabrzmiał jak największy wodospad na ziemiach Tawasenty.

Po plecach Ostrego Wiatru przeszło zimne mrowie, lecz ukrył strach i rzekł śmiało:

- Przyszedłem prosić ciebie, abys dał mi swoją córkę za żonę. Daj mi tę, co na tęczy mieszka i dzikiemu ptactwu drogę wskazuje, a z promieni słońca i księżycy tka derki. Daj mi Pahajo. Zaśmiał się Gachaskh, a od śmiechu jego poczęły trząść się i kołysać skały i głazy potężne spadać.

- Córka moja zostanie tylko tego żoną, kto przyprowadzi mi Białego Mustanga, którego posiada ojciec wiatrów Kabeyun. Pokaż siłę swych mięśni i rozum ludzki.

Rzekłszy to Gachaskh zasnął z powrotem, bo zima nastąpiła i wodospady zamarzły.

Wyszedł z wnętrza skały Ostry Wiatr, a bloki skalne zasunęły się za nim z trzaskiem i hukiem.

Nie zwlekając przygotowywał się do drogi.

Zrobił mocne narty, podbił je skórą z jelenich łap i natarł tłuszczem, wymalował na nich wzory swojego plemienia i prosił dobre duchy, aby nogi jego i narty szybkie się stały. Napełnił potem kołczan pierzastymi strzałami, przytroczył go sobie do pleców, a na ramieniu przewiesił łuk i zawołał:

- Na całej ziemi nie ma stworzenia, które mogłoby się ze mną w biegu zmierzyć! Prześcignę wiatry i ptaki skrzydlate! Dogonię Białego Mustanga, schwycę go na łąso i przyprowadzę do ojca mojej ukochanej!

Usłyszał te słowa Kabeyun i wypuścił swego rumaka, aby zmierzył się z młodym czarownikiem.

- Pędź, koniu, po wszystkich ziemiach Tawasenty. Zmęcz zuchwalca. Niech mu serce z piersi wyskoczy i zamarznie na czerwonej bryłę lodu.

Zarzął mustang i ruszył na ziemię.

W galopie minął młodzieńca i zniknął na widnokręgu. Ostry Wiatr począł go szukać po wszystkich ziemiach - zjeździł góry wzdłuż i wszerz, puszcze z zachodu na wschód i z południa na północ, lecz rumaka nigdzie nie spotkał.

Przemierzył bagna i pustynie, zbadał brzegi jezior i rzek, niestraszne mu były zaspy śnieżne i lodowce.

Pędzi, a dym spod nart mu idzie, śnieg topnieje. Wjechał młodzieniec na prerie, dojeżdża do wioski i widzi ludzi tłum, którzy śledzą jego polowanie. Kobiety i dzieci zanoszą się od płaczu, psy wyją, ogniska syczą.

Ostry Wiatr zatrzymuje się przy nich i pyta:

- Czemu płaczecie?

- Biały Mustang przebiegł tędy - odpowiadają. - O, nie dopędzisz go, bo mknie jak huragan. Dlatego płaczemy.

Puścił się za nim w pogoń młody czarownik, przeganiał bizona, antylopy i wiatr. Stepowe orły, przestraszone, zrywały się spod jego nart. Pędził przez białe prairie, jak ciemna błyskawica, aż dogonił konia. Chwycił go za srebrną grzywę, ale koń wspiął się na tylne nogi, szarpnął i znikł za wzgórzami.

Rzucił się w pogoń Ostry Wiatr, a Biały Mustang pędził przed nim otoczony śnieżnym pyłem, niby jasny księżyc chmurą. Mijał w dzikim galopie wzgórza, ośnieżone puszcze, przeskakiwał kaniony.

Lecz choć szybki był jego galop, szybszy był Ostry Wiatr i pędził za koniem, jak wygłodniały wilk za karibiu. Każdy krok zbliżał go coraz bardziej do Białego Mustanga. Tak znaleźli się w pobliżu Czerwonej Rzeki.

Nad rzeką, z ukrycia, śledził tę szaloną gonitwę zły duch, Isoka. Zacierał dłonie z zadowolenia, gdy patrzył, jak Ostry Wiatr coraz to bardziej zbliża się do zastawionej na niego pułapki.

Młody czarownik właśnie po raz drugi miał schwycić Mustanga za grzywę, gdy nagle wpadł w dół wykopany przez starego Isoka. Narty pękły... Stary zaśmiał się chrapliwie i zniknął między skałami, a Ostry Wiatr usiadł na śniegu i zwiesił głowę. Długo jednak nie trwał w zamyśleniu, lecz wyskoczył z dołu, poszedł na pobliskie wzgórze i popatrzył w ślad za koniem. Biały Mustang wolnym kłusem zanurzał się w gęstwinę puszczy.

Młodzieniec ściągnął z siebie łosiową kurtkę, wziął łąso do ręki i lekkim krokiem ruszył w stronę boru.

Słowami, których nauczył się od Niedźwiedziego Kłosa, pozdrowił puszcę i władców, co nią rządzą:

Bądźcie zdrowe, leśne olbrzymy. Pokój wam, duchy leśne. Witam cię, władco puszczy, witam cię przed domem twoim, który jest wiecznie zielony. Jam twój wielbiciel, władco mój! Tylekroć pomagałeś mi w łowach, karmiłeś mnie i naganiałeś zwierzynę pod moje strzały. Pomóż mi teraz, wielki Nanabosho, pomóż mi schwycić Białego Mustanga.

Wysłuchał władca leśny modlitwy młodego czarownika. Kazał drzewom szumieć, giąć się i machać gałęziami. Rozkazał wilkom wyć i niedźwiedziom ryczeć po puszczy.

Wystraszony Mustang wypadł na równinę, prosto na młodego czarownika. Ostry Wiatr rozwinął swe rzemieńne łąso i z rozmachem zarzucił je na szyję Białego Mustanga.

Koń był jego.

Zaprowadził go do Ducha Wodospadów - Gachaskha.

- Oto Biały Mustang Kabeyuna, schwyciłem go. Daj mi teraz swoją piękną córkę, daj mi Pahajo jako sąaw.

- Dzielnym jesteś młodzieńcem. Walczyłeś ze złem, postępowałeś mężnie i uczciwie, należy ci się dobra żona.

Weź Pahajo i białego konia, którego zdobyłeś. Lecz pamiętaj, synu mój, jeśli w życiu splamisz się jakimś złym czynem, stracisz żonę i wszystko, co ci będzie najdroższe na ziemi, a ty sam zamienisz się w marny pył, który wiatry będą nosić po świecie.

Po tych słowach Gachaskh zniknął, a Ostry Wiatr poczuł w głowie jakiś dziwny szum. Ogarnęła go niezmożona senność, nogi poczęły mu się uginać i padł na kolana. Już przez sen poczuł, że silny, ciepły strumień powietrza unosi go hen, w górę.

Gdy się obudził, siedział na Białym Mustangu u podnóża wielobarwnej tęczy, po której schodziła do niego uśmiechnięta, cudna Pahajo.

SYNOWIE SŁOŃCA

Tananakh często spędzała noce w puszczy, słuchając w blasku księżyca szemrzącej mowy drzew.

W takie to noce marzyła, aby urodzić dwóch synów silnych niby niedźwiedzie, szybkich jak gronostaje, a odważnych jak orły skalne, o których śpiewano by pieśni myśliwskie i wojenne.

Tananakh była samotna, lecz mimo to szczęśliwa, i nie pragnęła z nikim dzielić swego losu we wspólnym tipi. Mogła już dawno zostać żoną jakiegoś dzielnego młodzieńca, bo też wielu się o nią ubiegało zostawiając przed wejściem do jej namiotu skóry niedźwiedzie ze znakami swoich totemów. Ona jednak przechodziła koło nich obojętnie. A przecież wystarczyłoby podnieść tylko którąś ze skór, okryć się nią, a byłby to znak dla ukrytego myśliwego, że jego wybrała.

Pewnego dnia Tananakh nagle znikła. Na próżno szukali jej wszyscy mężczyźni plemienia. Mówiono, że dziewczynę pożarł niedźwiedź w czasie jej samotnych wędrówek po puszczy.

Tymczasem Tananakh wędrowała w stronę prerii, zacierając starannie za sobą wszelkie ślady. Nim wydostała się na rozległe równiny, kluczyła po puszczy, omijając miękką ziemię i polany okryte świeżą trawą, kilkakrotnie przechodziła strumienie i szła kamienistymi korytami rzek.

Trzeciego dnia dotarła do podnóża góry, na której rosły cztery drzewa. Tu zbudowała sobie tipi.

Wokoło delikatnie szumiała preria, a od zapachu ziół i kwiatów mocno pulsowała krew w skroniach. Każdego ranka Tananakh wchodziła na szczyt góry i tam ze wzniesionymi do nieba rękami prosiła Wielkiego Ducha, aby stała się brzemienna. Z pełną wzruszenia i natchnienia twarzą trwała tak w długie letnie dni, a oczy jej zachodziły łzami, mieniącymi się w blasku słońca niby kropelki rosy w płatkach dzikiej róży.

Pewnego dnia nagle chmury zaczęły gromadzić się nad jej głową, tak wielkie i ciemne, że przysłoniły sobą słońce, i zapanowała ciemność. Po granatowym niebie, hucząc, przelatywały ogniste ptaki, aż spadł deszcz rzęsy. Zmoczone, ociekające wodą włosy i suknie przylgnęły do drżącego ciała dziewczyny.

Ulewa minęła tak szybko, jak przyszła. Chmury uciekły jak spłoszone mustangi i znowu pojawiło się słońce obejmując swoimi promieniami wciąż jeszcze stojącą nieruchomo dziewczynę. Po prerii powiał ciepły, wilgotny wiatr.

Tananakh zdjęła swe łososiowe suknie; aby je wysuszyć. Jej brązowe ciało zabłysło w blasku słońca jak wilgotna skała. Ciemne włosy opadły na plecy, niby czarny wodospad górskiej rzeki.

Dziewczyna wzniosła rozpromienioną twarz do góry, bo zrozumiała, że nagłym zaćmieniem nieba i deszczem Wielki Duch dał znak, że wysłuchał jej prośby.

Szczęśliwa i uśmiechnięta zbiegła ze wzgórza. Tuliła radośnie wonne wilgotne zioła i ostre krzaki róż stepowych, nie czując ani wilgoci, ani ostrych kolców, które raniły jej ciało. Biegła w stronę swojego tipi, szczęśliwa, że urodzi synów o jakich marzyła.

„Będą to synowie Słońca” - myślała.

Przez wiele dni przygotowywała miękkie skórki bobrowe i próchno z drzew, zbierała puch z piersi ptasich i korę brzozy na posłanie dla swoich malców.

Nim jedno Wielkie Słońce przebiegło pół nieba, porodziła chłopców. Mieli okrągłe uszy i opłetwione ręce i stopy.

- Jesteście zrodzeni przez Słońce i Wodę i będziecie sławni, o synowie moi - szeptała cicho i pieśczołliwie.

Pod czułą opieką matki rośli szybko, a gdy osiągnęli wiek dziewięciu Wielkich Słońc Tananakh kazała im ubrać się w nowe przepaski biodrowe, dała im mięsa na kilka dni i zaprowadziła na Wzgórze Czterech Drzew.

Kiedy opuszczali namiot, ciemności nocy zamykały światło dnia, a duchy zmarłych rozpałały miliony maleńkich ognisk na ciemnym niebie. W brzasku dnia stanęli na szczycie góry i obrócili się twarzą do wschodzącego Słońca.

Matka, stojąc między chłopcami i niespokojnie obejmując ich ramionami, rzekła:

- Patrzcie, dobrze patrzcie, oto wasz ojciec. Jego ciepły oddech płynie na wszystkie strony. Nadszedł czas, w którym musicie zobaczyć się z nim i przypomnieć, że jesteście jego dziećmi. Czekają na was wiele niebezpieczeństw, lecz na drogę dam wam brązową Muchę. Ona uczyła mądrości wojowników mojego plemienia i jej wizerunek zdobi totemy w naszej wiosce. Możecie ukryć ją w uchu. Słuchajcie jej, a ona wam pomoże. Wiem, że nie zrobicie wstydu swojej matce i wrócicie z imionami, sławni i dzielni. Gdy Słońce dojdzie do zenitu, wyruszą w drogę.

Raz jeszcze przytuliła do siebie chłopców, drżącymi dłońmi pogładziła ich kruczę włosy i mimo że płacz dusił ją za gardło splotami węża, nie dała im poznać, jak bardzo cierpi w chwili rozłąki. Schodziła ze wzgórz, żegnana wojennymi okrzykami synów. Wiedziała, że rozstaje się z nimi na bardzo długo, a może i na zawsze. Poczuli ból w sercu, jak gdyby jakiś wielki krzak głogu rozrastał się w jej piersi. Odwróciła się i przez łzy, których już teraz nie potrzebowała wstrzymywać, dojrzała, jak machają ku niej rękami.

Widziała jeszcze, jak czterokrotnie okrążyli drzewa na szczycie góry, a potem poszli w kierunku wschodu Słońca, w odwrotnym niż jego bieg - by Słońce ich nie spostrzegło.

Wiele dni i wiele nocy szli chłopcy pachnącą równiną prairii. Dalej królował wysoki gęsty las, u podnóża którego, niby sine dymy ognisk, kłębiły się mgły. Z głębi prairii w stronę puszczy zlatywały stada czarnych kruków.

Dwaj bracia mową kruków przywołali do siebie jednego z nich. Rozpościerając czarne skrzydła usiadł w pobliżu i zapytał:

- Dlaczego wołaliście mnie?

- Idziemy do swojego ojca, Czarny Kruk, który mieszka tam, gdzie kończy się puszcza, w krainie wielkich skał. Wskaż nam drogę, przyjacielu, a będziemy ci bardzo wdzięczni.

- Włóżcie mi do dzioba kawałek mięsa - zakrakał kruk - abym miał siły do tak trudnej podróży. Chłopcy posłusznie spełnili jego żądanie, usiedli na jego grzbiecie, a on rozłożył skrzydła i unióś się w powietrze. Początkowo leciał nisko, tuż nad ziemią, potem coraz wyżej zataczał kręgi nad puszcza i prairią, która z jego grzbietu wyglądała jak ogromna Wielka Woda, łącząca się z ciemną plamą puszczy usianej blokami skał niby ogromnymi rafami.

Gdy wzniesli się tak wysoko, że z ziemi znikł ich cień, ujrzał ich wtedy zły Duch Ulew i nie chcąc dopuścić do krainy Słońca spuścił na nich gorący deszcz. Kruk szybko ukrył chłopców pod skrzydłami i wznioś się ponad gorącą chmurę. Wdzięczni chłopcy włożyli mu do dzioba drugi kawałek mięsa i ptak wznioś się jeszcze wyżej, tam gdzie żył orzeł - władca przestworzy.

- Teraz zabierze was orzeł - szepnął zmęczony kruk. - Ja muszę już wracać.

W powietrzu zawisł Wielki Ptak, niby ciemny obłok, przesłaniając blask promieni słonecznych.

- Władco podniebnych szlaków - przemówili chłopcy - zawieź nas na najwyższą skałę! Zaklinamy cię na szum twoich piór i na wzrok, co przebija skały, pomóż nam! - i podali mu kawał jeleniego mięsa, wielkiego przysmaku orłów.

Ptak, pełen podziwu dla odwagi chłopców, uległ. Zjadł połowę mięsa i poleciał z nimi w stronę najwyższej spośród wysokich gór.

Na ścieżce blisko domu Słońca znajdowało się olbrzymie lodowe drzewo, które zagradzało drogę potężnym pniem i rozłożystymi gałęziami. Chcąc je ominąć orzeł wznosił się bardzo wysoko, lecz dojrzał ich władca północy, srogi Ka-binoka, i nasłał na nich ogromną chmurę gradową. Orzeł jednak ukrył chłopców między piórami i ochronił ich przed olbrzymimi gradami gradu, a potem mocą swych skrzydeł wzbił się ponad czarny obłok. Chłopcy dali mu wtedy drugi kawałek mięsa.

Tak pokrzepiony przeleciał orzeł nad głębokim wąwozem, na którego dnie rozbijał swe wody o kamienie górskie lodowaty strumień. Mróz szczypał gołe barki chłopców. Zdrętwiałymi palcami z trudem trzymali się orlich piór, gdy unosili się nad lodowatym drzewem, wyciągającym gałęzie niby szpony rozwścieczonego niedźwiedzia.

Wkrótce wylądowali na szlaku między ostro sterczącymi głazami i orzeł wskazując dalszą drogę, rzekł:

- Idźcie dalej sami, a ja już muszę wracać.

Chłopcy podziękowali i pożegnali odlatującego orła podniesieniem w górę dłoni, a gdy pan przestworzy zniknął w chmurach, skierowali się ścieżką na szczyt góry.

Tipi Słońca stało między drzewami o potężnych konarach, na skraju ogromnej przepaści. Na jej dnie bieleły się kości śmiałków, którzy odważyli się tu przybyć.

Spojrzeli chłopcy na namiot, lecz o dziwo - tipi znikło. Zamknęli oczy i znowu je otworzyli, namiot się jednak nie pojawił. Czterokrotnie tak zamykali i otwierali oczy i dopiero za czwartym razem znów zobaczyli dom Słońca. Teraz bez przeszkód doszli do tipi i w milczeniu stanęli przed nim.

Przed wejściem do namiotu siedziała kobieta, która na widok chłopców podniosła się i rzekła:

- Idźcie stąd, jak najprędzej idźcie stąd, bo gdy Słońce wróci do domu i was tutaj zauważy, nie ujdziecie żywi przed jego ognistymi strzałami, a kości wasze połączą się z kośćmi leżącymi na dnie tego kanionu.

Kobieta była dziwna. Mówiąc do chłopców, co chwila zmieniała swą postać: raz była młoda i zachwycająco piękna, to znów stara i odstrasząco brzydka. Malcy patrzyli więc na nią w zdumieniu, nie mogąc wykrztusić ani słowa. Dopiero po chwili odpowiedzieli śmiało:

- Przybyliśmy tutaj, aby zobaczyć się z naszym ojcem.

- Nie znam waszego ojca i nie wiem, gdzie on mieszka, ale radzę, uciekajcie stąd, dopóki Słońca nie ma.

- My jednak zostaniemy i poczekamy, aż ojciec wróci. Kobieta spojrzała ze zdziwieniem.

- Ojcem naszym jest Słońce - odpowiedzieli na jej nieme pytanie - przyszliśmy go odwiedzić.

- A wy skąd wiecie, że Słońce jest waszym ojcem? Kto wam to powiedział?

- Wiemy to od naszej matki, która przysłała nas tutaj.

- Więc dobrze, zostańcie, ale nim Słońce wróci, musicie odpocząć. Siadajcie na skórze niedźwiedziej i czekajcie.

Na dany znak przez kobietę wysunęła się z namiotu zwinięta w rulon skóra i sama rozłożyła się przed zdziwionymi chłopcami.

- Wierzę teraz waszym słowom - powiedziała kobieta. - Futro samo rozpostarło się przed wami. Jest to znak, że nie okłamaliście mnie, wasze języki mówiły prawdę. Pomogę wam.

Odpoczywając na skórze niedźwiedziej, usłyszeli nagle strwożony szept kobiety:

- Słońce nadchodzi, spójrzcie.

Chłopcy patrzyli z zachwytem, jak szczyt góry powoli rozjaśniał wielobarwny delikatny blask słonecznego pióropusza - rósł, wzrastał się, zbliżał.

- Schowajcie się w namiocie, w najdalszym kącie, i nakryjcie się skórą. Leżcie tam cicho, aby was nie zauważył.

Skoczyli do tipi przejęci radością, trwogą i strachem przed wielkim, nieznanym ojcem. Ciekawość przewyciężyła jednak wszystkie inne uczucia i chłopcy odchyliłi lekko skóry, wśród których się schowali. W pierwszej chwili ostry, rażący blask oślepił ich i zmusił do zmrużenia oczu, lecz gdy wzrok przywykł do jasności słonecznej, ujrzeli ojca w całej jego wspaniałości.

Wysoki, z wielobarwnym świetlnym pióropuszem na głowie, okalającym twarz o ostrych rysach i orlim nosie, patrzył na świat oczami, które zdawały się widzieć wszystko.

Chłopcy na moment struchleli, wydało im się, że wzrok Słońca przenika ich na wskroś, że skóry zsunęły się z ich ciał i ojciec widzi, jak drżą skurczeni ze strachu.

Było to jednak tylko złudzenie, które minęło, gdy Słońce odwrócił się do kobiety i zapytał:

- Gdzie są ci dwaj ludzie, którzy tu przyszli? Kobieta, patrząc prosto w twarz Słońca, odpowiedziała:

- Nikt tu nie był, oczy moje nikogo nie widziały.

- Twój język mówi nieprawdę, stara kobieto, oni muszą być, bo tu są ich ślady - rzekł wskazując na odciski na ziemi stopy chłopców.

- Ty powinieneś wiedzieć lepiej, kto tu był, przecież widzisz wszystko, wędrujesz co dzień nad ziemią i nic, co się na niej dzieje, nie ujdzie twoim oczom. A te tu ślady pozostawili twoi synowie, którzy przyszli ci się pokłonić.

Słońce zadrżał, a skały oblane jego blaskiem stały się czerwone.

- Przeprowadź mi tych śmiałków, co nazywają siebie synami Słońca, niech oczy moje zobaczą ich.

Wtedy kobieta położyła przed Słońcem zwój futer. Władca nieba i dnia potrząsnął skórą i zdziwiony spojrzał na malców.

- Więc to wy macie być moimi dziećmi?

Stał przed nimi jak ogromna czerwona skała rozpalona gniewem.

- Ten, co rozjaśnia prerie i rozkazuje kwiatom kwitnąć barwami tęczy - zaczęli nieśmiało chłopcy - ten, co w puszczy roznieca pożary i zamienia olbrzymie drzewa w szary popiół, ten, co wybiela kości umarłych na pustyni i swoim gorącym oddechem rozsada skały, ten, co zwalcza ciemności i nazywa się Słońcem, jest naszym ojcem.

- A więc siadajcie i czekajcie, aż jedzeniem pokrzepię swe siły. Potem przejdziecie próby, w których będziecie musieli udowodnić, że jesteście moimi synami.

Wtedy odezwała się brązowa Mucha, ukryta w uchu jednego z chłopców.

- Musicie przejść te próby. Będą trudne. Najpierw zostanieie wrzuceni w płonące niebo, lecz ja wam pomogę. Oto macie pierzaste pióra, bardzo się wam przydadzą... - zabręczała cichutko.

W tym momencie zadrżała lekko skóra zasłaniająca wejście do namiotu i do środka weszła kobieta.

- Szkoda mi was, dzieci - szepnęła - jesteście śmiali, odważni i dlatego przysłałam was ostrzec. Słońce przygotował dla was takie próby, z których nikt zrodzony na ziemi nie mógłby wyjść żywy. Uciekajcie! Wskażę wam drogę. Między skałami jest Ścieżka Wiecznych Cieni, Słońce nie zna tej drogi.

- Dziękujemy ci za dobroć, ale my zostaniemy.

- Jeszcze raz ostrzegam was: uciekajcie! Tutaj czeka was niechybna śmierć.

- Zostaniemy - powtórzyli z uporem chłopcy.

- A więc chodźcie za mną, Słońce was wzywa.

Słońce popatrzył na nich w milczeniu i chwyciwszy każdego w płuć rzucił na ostry grzbiet błyskawicy. Lecieli tak szybko, że oprócz szyderczego świstu wiatru, który gwizdał im w uszach, nie słyszeli nic. Upadli jednak nie na ostrą błyskawicę, lecz na miękkie pióra, które dostali od Muchy, wrócili więc żywi i zdrowi przed oblicze ojca.

- To zdumiewające - zdziwił się Słońce.

Cztery razy rzucał ich tak na grzbiet błyskawicy, lecz chłopcy zawsze wracali żywi, dzięki dobrym radom i pomocy Muchy.

- Udowodniście mi, że jesteście moimi synami - rzekł Słońce. - Cieszę się bardzo, że Wielki Duch obdarzył mnie takimi dziećmi. Przygotuj im tipi takie, jakie powinni mieć moi synowie - zwrócił się do starej kobiety.

Jej sprawne ręce szybko postawiły namiot. Zakryła go kocami: niebieskim, czarnym, zielonym i żółtym. Rozpaliła wielkie ognisko, przyniosła kilka ogromnych kamieni i włożyła je do żaru.

Gdy głązy rozpały się do białości, kobieta powrzucała je do znajdującego się w środku namiotu źródła. Woda zasyczała, zabulgotała i Duchy Wody ulotniły się z niej, tworząc wielką gęstą parę. Wtedy Słońce wprowadził swoich synów do kolorowego namiotu i tu ich zostawił.

Jeszcze cztery razy kobieta wrzucała rozpalone kamienie do wody, a kiedy wystygły i para ulotniła się z namiotu, Słońce zajrzał do środka. Chłopcy leżeli nieruchomo, niby ubita przez myśliwego zwierzyna, a mięśnie ich i kości stały się zupełnie miękkie.

- Ugh - sapał cicho Słońce - czeka mnie dziś ciężka praca.

Pousuwał synom błony z rąk i stóp, pokeszywał jelenimi ścięgnami mięśnie nóg, uformował kolana. Potem ścięgnami niedźwiedzimi pokeszywał i umocnił mięśnie rąk i całego ciała, poprawił włosy, uformował uszy, a następnie umocował im na głowach długie włosy, sięgające aż do wąskich, silnych bioder.

Wyglądali wspaniale. Mieli ludzkie kształty, ale podobni byli do synów Wielkiego Ducha, do młodych bogów, a nie do istot zrodzonych przez ziemską kobietę. Stali się też tak bardzo do siebie podobni, że nie można było odróżnić jednego od drugiego.

Gdy Słońce wyprowadził ich przed tipi, stara kobieta odmłodziła ze zdziwienia, szepnęła czterokrotnie „hawkh”, po czym z powrotem zamieniła się w staruchę. Przemieniała się tak cztery razy, za każdym razem wyobrażając inną porę roku. Przy zmianie wiosenno-

letniej występowała jako młoda kobieta, a przy jesienno-zimowej jako siwa i pomarszczona starucha.

- Nie możesz się ich teraz wypierać - zwróciła się do Władcy Dnia - idź więc na ziemię, aby żyć w jednym tipi z ziemską córą i ze swoimi dziećmi, ja zostanę tu sama.

Słońce podszedł do staruszki, delikatnie położył dłoń na jej ramieniu i patrząc w jej twarz zmęczoną i usianą zmarszczkami, niby goła skała pęknięciami, przemówił miękkim głosem:

- Posiadanie synów to dla mnie wielkie szczęście. Ale na ziemi nie zamieszkać. Nie bądź smutna, gdy ja jestem wesoły. Ciesz się razem ze mną, a żadna czarna chmura nie przysłoni naszego blasku radości.

Po twarzy kobiety przemknął delikatny, radosny uśmiech. Skinęła lekko głową.

- Będę się cieszyła razem z tobą, mój wodzu, i twoja radość będzie moją radością.

- Moi synowie w młodym wieku dokonali wielkich czynów, a więc zasłużyli, żeby im dać imiona - rzekł Słońce. - Ty będziesz się nazywał Naiyeiezgani, a ciebie - zwrócił się do drugiego - od dzisiaj na wszystkich preriach będą znali jako Tabotoistcini. Sława okryje wasze imiona jak zimą śnieg ziemię. Szczęśliwy to dla mnie dzień, w którym do mnie przyszlście. A jeżeli macie jakąś prośbę, spełnię ją natychmiast.

- Tak, ojczy, chcielibyśmy, abyś nam podarował swoje dwa sławne konie, siodła, uzdy, lassa i koce pod siodła.

Słońce roześmiał się.

- Kto wam powiedział, że mam konie, siodła i lassa? Ja nic nie posiadam i nic wam dać nie mogę.

- Matka nasza mówiła, że dostaniemy to, o co poprosimy, a gdy wrócimy na ziemię, konie twoje się rozrodzą i każdy wojownik z plemienia matki naszej otrzyma pięknego mustanga, my zaś będziemy sławnymi wodzami. Jeżeli powrócimy z pustymi rękami, matce będzie smutno, że żałowałaś dwóch koni dla swoich synów.

W tym momencie Mucha szepnęła jednemu z chłopców, że ojciec ma konie, lecz ukrył je przed nimi. Jeden z chłopców rzekł więc:

- Pozwól, ojczy, abyśmy sami poszukali sobie koni.

Słońce bez słowa udał się za synami. Zeszli w dolinę otoczoną ze wszystkich stron skałami i wysokimi drzewami. Znajdowało się tam dużo czarnych niedźwiedzi.

- To są moje konie - rzekł Słońce wskazując na niedźwiedzie - możecie sobie wybrać, które wam się podobają.

Mucha znów szepnęła:

- Nie wierzcie mu, to nie są jego konie, żądajcie innych.- Tak ojczec, to są dobre konie
- potwierdził jeden z chłopców - ale my chcielibyśmy inne. Czy możesz nam pokazać drugą dolinę ze swoimi mustangami?

Słońce skinął głową na znak zgody i zaprowadził ich na wielką polanę, gdzie pasły się jelenie i kozy górskie o długiej, białej sierści, sięgającej do ziemi, a tak gęstej, że Wyglądały jakby spowite w śnieżne chmury.

- Oto moje konie - rzekł - a są one szybsze od wiatru, który rozwiewa wasze włosy. Wybierajcie więc.

- Dziękujemy ci bardzo, ojczec, ale to nie są konie dla nas. Na ziemiach, gdzie się urodziliśmy, zwierzęta te nazywają się inaczej, a my chcemy od ciebie dzikich i szybkich mustangów. Dla ciebie, ojczec, każde zwierzę może być mustangiem. My jednak jesteśmy ludźmi i pragniemy koni, na których jeżdżą ludzie.

Wypowiedziawszy te słowa chłopcy odeszli na spoczynek do swojego namiotu. Słońce ze zmarszczonym czołem zniknął także w swoim tipi i ciemności ogarnęły ziemię.

W namiocie Mucha szepnęła chłopcom, że konie Słońca znajdują się w zagrodzie, która posiada cztery wejścia.

Rano, kiedy Słońce wyruszył w dzienną wędrówkę po preriach niebieskich, Mucha poprowadziła chłopców do corralu, którego wierzch ogrodzenia wyłożony był kolcami jeżozwierzy i szponami orłów. Za ogrodzeniem było takie ciemno, że nawet bystre oczy chłopców nie mogły nic dojrzeć. Usiedli więc przed pierwszym wejściem do zagrody i czekali na powrót ojca.

Gdy Słońce wrócił z wojennej ścieżki przeciwko nocy, spostrzegł chłopców i powiedział:

- Niepotrzebnie tu czekacie, moje dzieci, oczy wasz nigdy nie zobaczą mustangów.- Prosimy cię jednak, ojczec, otwórz nam wrota, abyśmy mogli poznać twoje bogactwo.

Nie mogąc odmówić prośbie dzieci, Słońce otworzył kolejno wszystkie cztery wrota i znaleźli się w samym środku corralu pełnego tak wspaniałych mustangów, że serca chłopców zadrżały z zachwyty.

- To są najmarniejsze moje konie - mruknął Słońce. - Wybierajcie! Który wam się najbardziej spodoba, tego dostaniecie.

Wręczył chłopcom lassa, a sam stanął poza ogrodzeniem.

Konie zaczęły się niepokoić. Gwałtownie ryły kopytami ziemię, rżały, strzygły uszami, z rozszerzonych chrapów buchała para.

Kiedy chłopcy przypatrywali się biegającym mustangom, nie umiejąc wybrać, Mucha szepnęła:

- Łapcie tego, który odłączy się od stada. Spomiędzy rozfalowanych grzyw i drżących grzbietów wyprysnął czarny mustang z białą grzywą, sięgającą do pęcin. Trzymając dumnie wzniesioną głowę, z groźnym błyskiem w oczach począł okrążyć rozdygotane, wierzgające i rżące stado.

Jeden z chłopców wybiegł mu naprzeciw. Stanęli na wprost siebie - koń, kłębowisko drżących mięśni, i mały szczupły chłopiec, lekki, o pewnych, zdecydowanych ruchach, miękkich niby pumy leśnej.

Stali tak przez chwilę, badając się wzrokiem. Wtem czarny rumak rzucił się na chłopca chcąc go stratować potężnymi kopytami. Lecz malec, niby błyskawica rozjaśniająca ciemność nocy, mignął pod kopytami czarnego mustanga, a z ręki jego rozwinęło się łąso i opadło na szyję zwierzęcia, opasując ją splotami węża. Chłpiec szarpnął je z całej mocy, a łąso niby kleszcze ścisnęło szyję konia, tamując oddech i dopływ krwi do głowy.

Czarny mustang wznosił się na tylne nogi. Jeszcze jeden szalony skręt, uderzenie kopytami w skałę, która rozprysła się niby gruda błota, i koń padł u stóp chłopca, ciężko dysząc. Syn Słońca nachylił się nad leżącym zwierzęciem i starannie natarł mu trawą boki i spocony kark. Koń podniósł się i łagodnie oparł głowę na ramieniu zwycięzcy.

Chłpiec delikatnie chwycił grzywę swego wierzchowca i poprowadził go do ojca. W oczach Słońca zamigotał niespokojny żółty blask, szybko jednak opuścił powieki.

- Powiedziałem. Jest twój. Niech teraz mój drugi syn złapie innego konia i przyjedzie na jego grzbiecie do mnie. Jeżeli spełni moje żądanie, koń będzie jego - rzekł Słońce, wręczając łąso drugiemu chłopcu.

W stadzie wyróżniał się mustang o brunatnej sierści, czarnej grzywie i z białą plamką na czole. Biegał on między końmi niespokojny i dziki. Jego niepokój udzielał się innym zwierzętom.

Mucha szepnęła chłopcu:

- Ten brunatny ogier jest najlepszym mustangiem ze stadniny Słońca. Staraj się go schwytać. Mimo że zachowuje się tak dziko, z natury jest spokojny.

Na widok zbliżającego się chłopca koń rzucił się do ucieczki. łąso wyrzucone zręczną ręką było jednak szybsze i dopędziło zwierzę, pętając mu przednie nogi. Mustang zwałił się na ziemię, aż skały zadrżały dokoła, a kurz przysłonił na chwilę blask Słońca. Chłpiec z szybkością pumy dopadł leżącego konia i zanim zwierzę zdążyło się podnieść, już drugi koniec łąsa był uwiązany do jego potężnej szyi.

Ogier błyskawicznie rzucił się w górę, opadł na sztywne nogi, a w następnej sekundzie uskoczył w bok, lecz przytrzymało go lasso. Chłopiec zarył się aż po kostki w ziemię, napiął mięśnie i bardzo wolno począł przyciągać konia do siebie, a gdy już łeb koński miał w odległości wyciągniętej ręki, wypuścił lasso i jednym sprężystym skokiem znalazł się na grzbiecie dzikiego ogiera.

Teraz dopiero zaczęła się walka.

Czując na swoim grzbiecie człowieka, brunatny mustang znieruchomiał, zarżał i popędził szalonym galopem, chcąc zrzucić nieznośny ciężar. Zatrzymał się gwałtownie, zarył przednimi nogami i wyrzucił zad w górę. Przez moment zdawało się, że koń runie grzebiąc pod sobą chłopca, ale już w następnej sekundzie oszalały ogier wspiął się na tylne nogi. I o dziwo - chłopiec wciąż tkwił na jego grzbiecie.

Teraz nastąpił jakiś szalony taniec w miejscu. Ogier wybijał się w górę czterema nogami, wyginając łukowato grzbiet, to znowu rzucał się w bok lub w pędzie zatrzymywał się w miejscu, kręcił dookoła. Nic nie pomagało - jeździec jak gdyby przyrósł do grzbietu.

Koń zrobił ostatnią próbę: gwałtownym rzutem padł na ziemię. Syn Słońca błyskawicznie zeskoczył z grzbietu, ale zanim mustang podniósł się na nogi, chłopiec z powrotem siedział na jego grzbiecie.

Ogier stanął drżący, ciężko robiąc bokami - zrozumiał, że został zwyciężony.

Chłopiec zawrócił delikatnie konia, objechał całe stado dookoła i stanął przy Słońcu. Zeskoczył na ziemię, wytarł konia z potu.

Brunatny mustang jak wierny pies oparł swój aksamitnypysk na jego ramieniu. Stał przy chłopcu i szorstkim językiem oblizwał mu policzek.

- Zdobyliście dwa najlepsze konie - rzekł Słońce do chłopców. - Weźcie je ze sobą. Dam wam jeszcze koce i siodła. Wracajcie teraz na ziemię i pozdrówcie matkę swoją ode mnie. Będę czuwał nad wami. A konie rozmnożą się po wszystkich preiach.

Chłopcy podziękowali ojcu i pogalopowali na ziemię, gdzie na nich czekała matka.

Po wielu latach tabuny pięknych mustangów pojawiły się na preiach, a ludzie dziękowali synom Tananakh i Słońca. Wkrótce wybrano ich na wodzów plemienia.

TOSINONAKH

Na dawnych ziemiach Dakotów znajduje się jezioro wiecznie wzburzone i niespokojne. Wypływa z niego mała rzeczka; spokojnie toczy swoje wody między malowniczymi wzgórzami, aby połączyć się z ogromną rzeką Miso-nitoo.

Starzy Indianie taką legendę opowiadają o tym jeziorze i rzekach.

Shaminakh, król pięknego niegdyś i spokojnego jeziora, cieszył się promieniami słonecznymi, łaskawym okiem spoglądając dokoła, a duma rozsadzała go z radości, gdyż urodziła mu się córka, piękna Tosinonakh.

Wyływała ona wąską strużką z głębin ojca i jako maleńka rzeczka krążyła między kwiatami i ziołami leśnymi, płynęła pomiędzy wzgórzami, a wiatr pieszczotliwie falował jej błękitną sukienką. Towarzyszyły jej zwykle srebrne ławice ryb i radosne wrzaski wodnego ptactwa. W dzień słońce płucało promienie w przezroczystych jej wodach, a nocą przeglądały się gwiazdy i przybrzeżne drzewa.

Zwierzęta chętnie przychodziły nad jej brzeg, aby ugasić pragnienie. Zanurzały aksamitne chrapy w chłodną wodę, a ona pieściła je delikatnie, łaskotała i przywracała czucie znużonym upałem nozdrzom.

Mieszkańcy puszczy kochali ją za dobroć, za smak jej wody i za to, że potrafiła z mięśni ich usunąć zmęczenie, ociężałość, a z gardła suchość i gorączkę.

Ona zaś cieszyła się radością zwierząt, wesołym kwileniem ptaków, które beztrąsko trzepotały się w przybrzeżnych trzcinach. Karmiła je, dawała schronienie przed prześladowcami, ożywiała kwiaty i trawy przybrzeżne. Cichutkim szemraniem tuliła do snu drzewa, leśne kwiaty i zwierzęta. Wiecznie rozśpiewana, wiecznie w ruchu, dawała znać światu, że żyje, że radośnie wita nadchodzący dzień i żegna odchodzącą noc.

Gdy się w nią patrzyło, wydawało się, że niebo jest u stóp wraz z chmurkami i słońcem, a nocą, że gwiazdy rozbłysły w dole, a ciemność występuje z jej wód.

Taka była Tosinonakh.

Dobra i radosna, pieszczotliwa i figlarna.

Pewnego razu, po wielkiej burzy i ogromnych deszczach, kiedy wody wezbrały, Tosinonakh poczuła się silniejsza niż zwykle i płynąc okrążyła kilka nie znanych dotąd wzgórz.

Rozejrzała się ciekawie po nowej okolicy i zdziwiona spostrzegła wspaniałą, szeroką rzekę Misonitoo. Gdy patrzyła na potężne wody, na gwałtowne wiry i prądy, zrodziło się w niej uczucie miłości. I szept pełen zachwyty wypłynął z jej falującej piersi:

- Jakie ty masz piękne i potężne fale, z jaką szybkością płyniesz. Och, kocham cię, Misonitoo, za twoją moc i potęgę!

Dobiegły do Misonitoo słowa dziewczyny. Spojrzał w stronę Tosinonakh i zachwyił się jej błękitną wodą. Pierś jego coraz mocniej unosiła się westchnieniami. Wysłał do brzegu fale, by jak najbardziej zbliżyć się do błękitnych wód córki jeziora Shaminakh.

Na nic jednak zdały się wysiłki mocarnego Misonitoo, zbyt duża dzieliła ich odległość.

Wśród szumu i łoskotu fal słyszała Tosinonakh, jak wołał ją mocarny Misonitoo.

Ona też pragnęła być bliżej niego, ale nie zdołała dopłynąć do swego ukochanego i zmęczona musiała wracać w spokojne wody ojca, ocienione ogromnymi blokami skał.

Całymi dniami myślała teraz o wspaniałym Misonitoo, o jego niestrudzonym biegu. Skąd wypływa i dokąd płynie? Przez jakie krainy toczy swe wody, ile pięknych i ciekawych rzeczy musi widzieć w długiej, wiecznej wędrówce? Zazdrościła mu tej włóczęgi i nie mogła się doczekać, kiedy sama wyrosnie w potężną rzekę, aby móc złączyć swe wody z wodami ukochanego i potem razem już z nim płynąć w nieznany świat.

Tęskniła teraz, smutna, a głos jej nie dźwięczał już pomiędzy drzewami tak radośnie jak dawniej.

Martwił się ojciec smutkiem swojej córki. Naganiał w jej wody różnokolorowe ryby, ale i one nie potrafiły jej rozweselić.

Radosne były jedynie te dni, kiedy po deszczu mogła wybiec dalej i spojrzeć na swego ukochanego.

Szumiała wtedy radośnie, cieszyła się życiem, a wesołość jej udzielała się wszystkiemu dookoła. Ptaki śpiewały piękniej, kwiaty podnosiły barwniejsze główki, a przybrzeżne trzciny cicho powtarzały piosenki Tosinonakh. Misonitoo zaś, ujrawszy ją, śpiewał:

Ukochana, kiedy przyjdiesz, aby ze mną ułożyć się we śnie, by wspólnym biegiem przebywać lasy, doliny i prerie. Przyjdź, przyjdź, ukochana, ja na ciebie czekam...

Nie mogła jednak Tosinonakh spełnić prośby i smutna wracała do ojca.

W czasie jednego z takich powrotów zauważył ją Wiatr biegający między drzewami. Przystanął przy rzeczulce, pogłaskał ją i rzekł:

- Nie smuć się, piękna, posłuchaj mojej rady, pozwoli ci ona połączyć się z ukochanym: poproś Ducha Deszczów, aby zesłał na ziemię krople wody, które ty zgromadzisz w sobie. One, choć małe, dodadzą ci mocy i połączysz się z wodami Misonitoo. Ja zaś zbiorę swoich braci i ze wszystkich stron nieba zegnamię olbrzymie czarne chmury. Jeżeli miłość twoja jest prawdziwa, to Weya Muneto wysłucha cię i uczyni w ciemnych chmurach otwory, z których spłyną strugi deszczu.

Gdy to powiedział, stracił z drzew parę liści na błękitną sukienkę Tosinonakh i odleciał ku górskim szczytom.

Pokrzepiona na duchu Tosinonakh wróciła do ojca i tam w cieniu skał, w ogromnej ciszy poczęła szeptać słowa modlitwy do Ducha Deszczów:

- O, wielki Weya Muneto, panie powietrznej wilgoci, ty, co dajesz życie trawom prerii i olbrzymim drzewom w puszczy! Ty, co zmywasz pył z kwiatów, ukazując ich prawdziwą barwę, i napełniasz jeziora i stawy wodami. Wysłuchaj mnie! O, Wielki Duchu Deszczów, serce moje rwie się do ukochanego Misonitoo. Zezwoliłeś mi zbierać wodę ze śnieżnych górskich szczytów i wskazałeś mi drogę, którą ma biec, zezwól mi połączyć się z nim. Co dzień w darze promienie słońca zanosiły ci część mego ciała i wdzięczna im byłam za to. Błagam cię teraz, Weya Muneto, pomóż mi i daj mi swoje strużki deszczu, które pomogą połączyć się z moim ukochanym. Ach! Pomóż mi, o Wielki Duchu Deszczów!

Co dzień modliła się i zasyłała prośbę do władcy Niebieskich Wód, aż pewnego dnia przybiegły do niej Cztery Wiatry. Zagwizdały w gałęziach drzew i powiedziały jej, że spędzą dla niej ciemne chmury ze wszystkich stron nieba. Kłębiły się jak dymy ogniska przyduszonego płachtami namiotu.

Ponuro i ciemno zrobiło się na świecie. Wystraszone ptactwo pochowało się w dziuplach i przybrzeżnych szuwarach. Strwożone zwierzęta zapadły w wykroty i ziemne kryjówki. Wiatry szalały. Coraz więcej chmur nadpływało. Zdawało się, że wszystkie węże świata straszliwym kłębowskiem przewalają się przez niebo.

Nagle pod wieczór zapanowała cisza tak wielka i przerażająca, że słyhać było przelatującą ważkę.

Tosinonakh poszarzała z lęku. Przeczowała, że po tej ogromnej ciszy nastąpi jakaś ogromna zmiana.

Wtem ciemności rozdarły błyskawice, drzewa stanęły w upiornym blasku, rzeczka jak gdyby skurczyła się ze strachu i grozy, a błyskawice leciały jedna za drugą. Rozległy się grzmoty, które wstrząsnęły ziemią i skałami - przemówił Weya Muneto. To jego ramiona błyszcząły w ciemności, kiedy otwierał zasuwy deszczowe w ciemnych chmurach. To jego głos rozkazywał, aby strumienie wody spływały na ziemię.

Suknia Tosinonakh zmarszczyła się pod uderzeniami deszczu. W pierwszej chwili wydało się jej, że to czarny niedźwiedź uderza w nią łapą, aby wyrzucić na brzeg srebrnego łososia. Lecz gdy poczuła przyływ nie znanej dotąd energii, jakąś nadzwyczajną zwielokrotnioną moc, wydało się jej, że teraz, pełna i potężna, potrafiłaby przeskoczyć wszystkie wzgórza i połączyć się z ukochanym.

Czekała tylko na ostatnią kroplę deszczu i na pomoc przyjaciela, Wiatru.

Wreszcie deszcz ustał, chmury popłynęły na zachód. Wrócił Wiatr, zatańczył swój wojenny taniec, zaświstał, zagwizdał, połamał gałązki na drzewach i zawołał do Tosinonakh:

- Jesteś już wielka i mocna, szykuj się do drogi! Ja pomogę ci w biegu. Spiesz się, nim ojciec twój spostrzeże, że chcesz mu uciec.

- Wiem - westchnęła - że gdy ojciec przejrzy moje zamiary, na zawsze zatrzyma mnie przy sobie między skałami.

Wiatr wbił się w powietrze i z mocą huraganu rzucił się z podniebnej wysokości na Tosinonakh. Wody spiętrzyły się w potężny wał i ruszyły naprzód jak strzała wypuszczona z łuku, a Wiatr poganiał je ostrym świstem.

Ojciec Tosinonakh, po przebytej burzy odpoczywając w tym czasie w cieniu skał, spostrzegł pędzące, jak gdyby uciekające w pośpiechu fale. A gdy ujrzał nad rzeką zgarbiony z wysiłku Wiatr i chmary uciekającego ptactwa - pojął wszystko.

- Tak! - sapał ciężko. - Córka moja zakochała się i ucieka ode mnie bez słowa pożegnania. Niewdzięczna! - syknął ze złością. - Prędzej mnie skały pokryją i woda moja wyschnie, aniżeli pozwolę ci uciec!

Począł się burzyć i szaleć, fale z wściekłością biły o granitowe bloki, zamieniając się w pył wodny. Shaminakh szalał. Z wnętrzości swoich wyrzucał potężne gejzery, które jak słupy wodne przewyższały najwyższe nawet drzewa na szczytach. Od podwodnych wybuchów trzęsły się góry.

Ogromne głazy, odrywane od bloków skalnych, i wielkie drzewa z korzeniami padały w jezioro. Łapał je Shaminakh i rzucał za uciekającą córką. Odłamki skał spadały do koryta rzeczki, tworząc kamienne zatory, olbrzymie pnie tarasowały drogę. Ale Tosinonakh przeskakiwała je lub potężnym uderzeniem fali roztrzaskiwała na drzazgi i płynęła wciąż naprzód, aż po kilku dniach, zmęczona, zbrukana, znękana walką i biegiem, wpłynęła w ramiona ukochanego. A Misonitoo przygarnął ją do siebie czule. I tak połączyli się na wieki.

Od tego czasu w ciszy nocnej słychać, jak szepczą do siebie lub śpiewają radosną pieśń miłości.

Czasami Wiatr przyjaciel zatańczy nad ich spokojnymi wodami, a potem odlatuje i długo chichocze nad wiecznie niespokojnym jeziorem Shaminakh.

KWIAT ANTYLOPY

W plemieniu Arapahów żył młody wojownik imieniem Biała Antylopa. Sławny to był myśliwy. Strzały z jego łuku zawsze dosięgały celu i nigdy nie chybiały. Mało było takich myśliwych u podnóża góry Konającego Bizona, gdzie mieszkali Arapahowie.

W tym samym plemieniu żył stary wojownik, Czarny Sęp, który miał śliczną córkę, zwaną Śnieżny Płatek.

Była tak piękna, że wielu młodych wojowników chętnie oddałoby najlepsze swoje skóry i najszybsze mustangi ojcu dziewczyny, aby tylko zechciał dać im ją za żonę.

Jednak stary wojownik, kochając bardzo jedynaczkę, pozwolił, aby sama decydowała, kto ma zostać jej mężem. Lecz Śnieżny Płatek była bardzo zarozumiała i śmiejąc się mówiła:

- Ten zostanie moim mężem, który dokona takiego czynu, jakiego nie mógłby dokonać żaden inny wojownik.

W wiosce Arapahów zawrzało. Młodzi myśliwi pragnęli dokonać niezwykłych czynów. Jedni na dzikich mustangach zapuścili się w rozległe prerie. Drudzy wsiedli w brzozowe kanoje i wkrótce skryli się za zakrętem rzeki. Inni znów poszli w głąb puszczy.

Tymczasem Śnieżny Płatek cieszyła się leżąc w namiocie.

- Jestem szczęśliwa, bardzo szczęśliwa - mówiła. - Dla żadnej innej dziewczyny tylu wojowników nie uganiałoby się po preriach, lasach i jeziorach.

W radosnych płasach wybiegła ze swojego namiotu i... stanęła zdziwiona. Oto ujrzała Białą Antylopę, tego z młodych wojowników, który najgoręcej zapewniał ją o swojej miłości i którego słowa były jej miłsze niż słowa innych.

On jeden właśnie pozostał w wiosce. Obojętny na wszystko, siedział przed swoim namiotem paląc małą fajeczkę. Dziewczyna zbliżyła się do młodzieńca.

- Czy Biała Antylopa już nie kocha mnie? - spytała. - Czy serce jego odwróciło się ode mnie i zapomniało o słowach miłości?

Młody wojownik podniósł głowę i zajrzał w oczy dziewczynie.

- Biała Antylopa kocha Śnieżny Płatek, a serce jego z całą siłą wrywa się z piersi, aby zamieszkać przy jej sercu. Jego usta raz tylko wypowiedziały słowa miłości i nigdy już więcej nie będą mówiły inaczej - odrzekł.

- To czemu pozostałeś w wiosce, gdy wszyscy młodzi odjechali, aby spełnić moje żądanie?

- Wiesz dobrze, Śnieżny Płatku, że żaden z nich nie dokona niczego, czego ja nie zrobiłbym lepiej. Pamiętaj jednak, abyś w swej zarozumiałości nie posunęła się za daleko. Śnieżny Płatek roześmiała się tylko i pobiegła na skraj wioski, aby tam czekać powracających wojowników.

Pod wieczór, kiedy słońce miało się schować za widnokrąg, zaczęli wracać.

Najpierw przybyli ci, co wyjechali w prerie. Prowadzili ze sobą wspaniałe dzikie mustangi, które złowili w ciągu dnia.

Potem wrócili myśliwi z puszczy, przynosząc wielkie futra czarnych niedźwiedzi.

Ostatni przyплыnęli wojownicy z rzeki, przywożąc pełne łodzie ryb i piękne skórki bobrowe i wydrze.

Składali te wszystkie dary przed dziewczyną i szeptali:

- Wybieraj teraz, Śnieżny Płatku, który z nas podoba ci się najbardziej.

- Wspaniałymi jesteście myśliwymi, ale żaden z was nie zostanie moim mężem, bo znam takiego, który w ciągu jednego dnia sam zdobyłby dla mnie te wszystkie mustangi, skóry niedźwiedzie i ryby.

- Któż to? - pytali wojownicy.

- Biała Antylopa - rzekła dziewczyna.

Myśliwi spuścili głowy - wiedzieli dobrze, że to, co powiedziała Śnieżny Płatek, jest prawdą.

- Ale ja nie zostanę jego żoną - mówiła dalej. - Zostanę żoną tego, kto dokona czynu, jakiego żaden żyjący człowiek nie dokonał.

Biała Antylopa, stojący dotychczas z boku, teraz zbliżył się wolno do rozmawiających.

Wszyscy spojrzeli na niego z ciekawością, a on powiedział spokojnie i cicho:

- Kiedy nastanie noc księżycowa, zestrzelę z nieba gwiazdę.

Dziewczyna spojrzała zdumiona.

- Ty chcesz strącić gwiazdę z nieba? Ty chcesz dokonać tego, czego nikt nie dokonał na świecie!

- Tak! Biała Antylopa strąci gwiazdę! - odpowiedział wojownik i odszedł do swojego namiotu, odprowadzany zdumionym spojrzeniami zebranych.

Wiść o śmiałym zamiarze młodzieńca rozeszła się po preriach lotem strzały, wszystkie okoliczne plemiona zjechały więc do podnóża góry Konającego Bizona. Z niecierpliwością czekali teraz gwiazdnej nocy.

Nadeszła. Gwiazdy błyszcząły na ciemnym niebie jak kropelki rosy w trawie.

Biała Antylopa wyszedł ze swego namiotu. Ubrany tylko w legginsy i przepaskę biodrową, we włosach, podtrzymywanych przez opaskę plecioną z kolorowego włosa końskiego, miał dwa wspaniałe orle pióra.

Zgromadzeni ludzie zamilkli na widok wojownika. A on, milczący, szedł przez tłum, aż zatrzymał się przed namiotem swojej ukochanej.

- Śnieżny Płatku, wyjdź przed namiot - rzekł.

A gdy dziewczyna odchyliła skórę wejściową namiotu, szmer przeszedł po tłumie.

- Jaka ona piękna, jaka cudna - szeptali ludzie.

W białej jeleniej sukni, wyszywanej kolorowymi ściegami i ozdobionej ogonkami gronostajów, wyglądała jak smukła brzoza. W blasku księżyca uroda jej stała się jeszcze delikatniejsza i zwiewniejsza niż zwykle. Wydawało się, że jest jakimś nadziemskim zjawiskiem i najmniejszy powiew wiatru mógłby ją unieść z ziemi.

- Przyniesiesz mi więc, że jeśli strącę gwiazdę, zostaniesz moją żoną? - zapytał młody wojownik.

- Tak! Przysięgam ci! - odpowiedziała dziewczyna. Biała Antylopa wyciągnął z kołczanu strzałę, założył ją łuk, naciągnął cięciwę i wymierzył w niebo. Naprężył łuk mocno, coraz mocniej, węzły napiętych mięśni wystąpiły mu na plecach, a ramiona stały się podobne do skręconych korzeni.

Wreszcie strzała ze świstem wyleciała w górę.

Ludzie zamarli w bezruchu.

Z ciemnego nieba oderwała się gwiazda i spadła na ziemię.

W tym samym momencie nadpłynęły ciężkie chmury, a w ciemności rozległ się groźny głos:

- Człowiek, który odważył się strzelać do gwiazd, rozgniewał mnie, a kobieta, która go do tego zmusiła, będzie na zawsze potępiona.

Po chwili chmury znikły, a ludzie zobaczyli, że tam, gdzie stał zuchwały wojownik i piękna dziewczyna, rośnie krzak kolczasty, a pod nim bieleje mały biały kwiatusek.

Od tego czasu ludzie coraz częściej spotykali na preriach małe kwiatki ukryte w kolczastych krzakach.

Nazwali je Kwiatami Antylopy.

STWORZENIE SŁOŃCA

Złe duchy chciały wytepić ludzi dlatego, że byli oni dziełem dobrych bóstw. Wybuchła walka, w której wyginęły dobre bóstwa. Wtedy złe duchy ściągnęły z krain północnych i najwyższych szczytów górskich śniegi, lody i zimne wichury, którymi zgasiły słońce.

Noc zapanowała na ziemi. Świat pokrył się lodem. Ludzie zmarzali na śmierć. Marli z głodu.

Gdzeniegdzie na marnych poletkach rosło jeszcze trochę kukurydzy, która stanowiła jedyny pokarm.

Nie było już drzew dających słodkie owoce. Nie kwitły kwiaty, ptaki już nie śpiewały. Umilkła muzyka cykad i świerszczy. Zwierzęta ginęły w lasach i na preriach. Mężczyznom coraz rzadziej udawało się polowanie. Brakło skór na ciepłe okrycia.

Zaniepokojeni wodzowie plemion indiańskich zeszli się na wielką naradę, aby zastanowić się nad stworzeniem nowego słońca.

Na niebie bowiem pozostały gwiazdy, których nie udało się ugasić złym duchom. Przebywające na nich duchy zmarłych, obdarzone przez dobre bóstwa niezwykłą siłą” zdołały się obronić i czuwały, by świat nie pogrążył się w wiecznej ciemności.

Wodzowie radzili bardzo długo, ale żaden z nich nie wiedział, jak stworzyć nowe słońce. Był jednak między nimi pewien sabio - czarownik, który żył już przeszło trzysta lat i znał wszystkie tajemnice przyrody.

Czarownik rzekł do zebranych wodzów:

- Znam sposób stworzenia nowego słońca. Młody, silny, odważny wojownik musi poprosić duchy zmarłych, aby dały mu po kawałku każdej z gwiazd. A gdy wszystkie użyczą mu swego blasku, tarcza jego zmieni się w duże, jasne i gorące słońce. Chętnie podjąłbym się sam tego dokonać, ale jestem stary i nie mam dosyć siły i zręczności, aby władać tarczą i oszczepem w walce ze złymi duchami, które będą broniły dostępu do gwiazd.

Kiedy czarownik umilkł, wszyscy zebrani na naradzie wodzowie wykrzyknęli:

- Jesteśmy gotowi wyruszyć! Ale czarownik rzekł:

- Wasze chęci przynoszą wam zaszczyt. Ale iść może tylko jeden z was, gdyż stworzyć trzeba tylko jedno słońce. Więcej słońc spaliłoby ziemię. Wojownik, który wyruszy, musi ponieść największą ofiarę, na jaką człowiek może się zdobyć. Musi opuścić żonę i dzieci, ojca i matkę, przyjaciół i swój lud. Nigdy nie powróci na ziemię, lecz będzie musiał wiecznie wędrować po sklepieniu nieba, trzymając na ramieniu tarczę, zawsze gotów do walki ze złymi duchami, które wciąż będą próbowały zgasić słońce. Będzie widział swój lud i ziemię, ale nie będzie mu wolno powrócić. Pozostanie na wieki samotny we wszechświecie.

Wodzowie zawahali się. Żaden nie miał ochoty porzucić żony, dzieci, matki, przyjaciół i swego ludu. Każdy wolał po śmierci spocząć w swojej ziemi. Zapanowało więc długie milczenie. Wreszcie odezwał się Chicovaneg:

- O, dzielni mężowie! Jestem młody, silny i sprawnie władam bronią. Mam młodą, piękną żonę, którą kocham bardziej niż samego siebie. Mam chłopca, krew mojej krwi. Mam drogą dobrą matkę, której jestem podporą i nadzieją. Mam wielu serdecznych przyjaciół. Kocham swój lud, pośród którego ujrzałem świat i którego jestem nieodłączną częścią. Ale bardziej jeszcze niż żonę, syna, matkę, przyjaciół i swoje plemię kocham wszystkich ludzi.

Nie mogę być szczęśliwy, gdy widzę, że oni cierpią. Pozbawieni słońca muszą ginąć. Gotów jestem iść, jakikolwiek czekałby mnie los.

Za radą czarownika sporządził mocną tarczę z tygrysa, pióropusz z piór potężnego orła. Uszył mokasyny z łap wielkiego niedźwiedzia, którego zabił w dżungli.

Tak przygotowany pożegnał żonę, syna, matkę i swoje plemię i wyruszył na poszukiwanie skrzydlatego Węża Olbrzyma. Znalazł go w głębokiej, ciemnej pieczarze.

Zbliżającego się wojownika spostrzegł zły czarownik, który był na służbie złych duchów. Lecz rozumny i przebiegły Chicovaneg spoił go słodkim sokiem maguey, a kiedy czarownik usnął odurzony i zamknął wszystkie czterdzieścioro oczu, Chicovaneg zakradł się i zabił go swym oszczepem zatrutym stu jadami.

Potem zaczął śpiewać słodkie pieśni i grać na trzciniowym flecie dźwięczne melodie.

Wtedy wypełził z pieczary skrzydlaty Wąż Olbrzym i poszedł za nim, posłuszny wszystkim rozkazom.

Minęło dużo lat. Po wielu walkach ze złymi duchami Chicovaneg zaszedł na kraniec świata, tam gdzie gwiazdysą najbliżej ziemi. Odległość dzielącą go od najniższej zawieszanej gwiazdy przebył jednym potężnym skokiem.

Opowiedział duchom zmarłych, duchom o czarnych twarzach (nie były one indiańskiej krwi) o tym, co się stało na ziemi, a duchy chętnie dały mu część swojej gwiazdy. Chicovaneg przytwierdził ten kawałek do tarczy, która rozbłysła tak promienną światłością i pięknnością, że wyraźnie widział drogę wśród ciemności.

Lekko i pewnie skakał z jednej gwiazdy na drugą. Wszędzie, gdzie przybywał i spotykał duchy o białych, żółtych lub brunatnych twarzach, otrzymywał po kawałeczku gwiazdy. Wreszcie zjawił się wśród duchów własnego plemienia - przywitały go radośnie, dumne, że to ich potomek zamierza pomóc ludziom. Tu Chicovaneg sprawdził i naostrzył broń, pokrzepił znużone ciało - ale wnet ruszył dalej. I wędrował tak z gwiazdy na gwiazdę, z gwiazdy na gwiazdę, a tarcza jego świeciła coraz mocniejszym i mocniejszym blaskiem, aż przyćmiła największą gwiazdę. Wtedy zobaczyły ją złe duchy. Zrozumiały, że Chicovaneg zamierza dać ludziom nowe słońce. Ogarnęła je wściekłość - rozszalałe, trzęsły ziemią i gwiazdami, ażeby Chicovaneg spadł w mroki wszechświata, z których nikt nie może się wydobyć.

Ale Chicovaneg był mądry. Gdy na drodze swojej spotykał gwiazdę tak małą, że nie widział jej dobrze, wysyłał na zwiady skrzydlatego Węża, który mówił mu, jaka odległość dzieli go od niej. Chicovaneg wiedział wtedy, jak skakać, aby skok był niezawodny. Gdy

gwiazda była zbyt daleko, wysłał do niej skrzydlatego Węża i wędrował po jego długim grzbiecie.

Gdy tak wspinał się po sklepieniu niebieskim coraz wyżej, a tarcza jego coraz silniej jaśniała, ludzie dostrzegli ją, a radość i wesele zagościły na ziemi.

Ale złe duchy nie próżnowały. Rozpętały straszliwe burze, które niszczyły ludzkie domostwa i pustoszyły pola. Pogrążyły ziemię w odmętach powodzi, na ich rozkaz góry wypływały gorącą lawę, aby zniszczyć ludzi, zanim słońce rozbłyśnie na niebie.

Z wściekłością ciskały rozżarzone kamienie za wędrującym po niebieskim sklepieniu Chicovanegiem. Ale młody Indianin nie zważał na to i wspinał się ciągle wyżej i wyżej, a jego tarcza świeciła coraz silniej, aż pewnego dnia wysoko na niebie rozbłyśło wielkie, promienne, gorące słońce.

Na ziemi wyrosły kwiaty. Powróciły ptaki i radośnie rozbrzmiewał ich śpiew. Rozkwitły drzewa i wkrótce pod dostatkiem było bananów, fig i wszelkich innych owoców.

Złe duchy do dziś jednak nie mogą się z tym pogodzić. Spowijają ziemię w czarne chmury i w sercach ludzi budzą strach. Jednakże dzielny Chicovaneg czuwa, a gdy za bardzo mu dokuczają, wpada w gniew i rzuca błyszczące oszczepy, aby je przepędzić z kryjówek w czarnych chmurach. Potrząsa przy tym tarczą, a groźne grzmoty wprawiają świat w drżenie.

Złe duchy uciekają, a wtedy Chicovaneg maluje na niebie wielobarwny łuk, aby obwieścić ludziom, że mogą nadal żyć w spokoju, gdyż on nie pozwoli złym mocom zgasić słońca.

NIEDŹWIEDŹ STAREJ MOOKHASON

Olbrzymie drzewa o potężnych konarach otaczają uśpioną wioskę indiańską. Wiatr hula między gałęziami i targa liście, to znowu przysiada na czubkach rozkołysanych świerków i gwizdże smutną nocną piosenkę.

Ciszę puszczy przetnie czasami ponure, długie wycie wilka lub piekielne hukanie sowy, jęk i pisk rozrywanej przez nią ofiary i znowu zalega spokój.

Po niebie płyną obłoki, skłębione niby dym czarny, co chwila przesłaniając księżyc. Wtedy zwiększa się mrok w puszczy, a wiatr pod osłoną ciemnych skrzydeł mocniej gnie i szarpie drzewa. Po chwili księżyc wychyla swą bladą twarz zza ciemnych chmur, spogląda na północną puszcę, zimnym blaskiem oświetla ziemię. Wydłużają się wtedy cienie drzew i kładą na uśpione tipi.

Przed jednym z tipi płonie ognisko o czerwonych, krwawych płomieniach. Dym, zrywany z ognia łapami wiatru, ginie w ciemności. Światło lekko pełza po konarach i liściach, jak gdyby obawiało się walki z nocą. Zewsząd zlatują się chmary komarów i różnych owadów, zwabione blaskiem, i giną w ogniu bezbronnie, bez walki.

Przy ognisku siedzi stara kobieta i opłakuje śmierć syna.

Cicho rozlega się jednostajny szept:

Nic nie żyje długo, z wyjątkiem ziemi i gór, Wielki Duchu - Manitou, daj, by Tooli, syn mój, godne zajął miejsce w gronie swych przodków.

Tooli mimo młodego wieku stał się sławnym myśliwym, którego poważali i z którym liczyli się nawet starzy wodzowie.

W namiocie starej Mookhason pełno było smacznego mięsa i świeżych ryb, a na zimę zawsze miała przygotowane ciepłe futra wilcze i bobrze.

Niejedna czarnooka dziewczyna chciałaby zostać jego żoną, lecz Tooli oddał serce swoje smagłej, o szczupłych i zgrabnych dłoniach, Danakho.

Gdy Danakho szła między drzewami, gałęzie muskały jej czarne włosy, a kwiaty schylały swe barwne główki pod jej maleńkie stopy. Ptaki radowały się widokiem dziewczyny, a małe zwierzątka chętnie przybiegały do niej i z ufnością wdrapywały się jej na kolana, aby zaznać pieśczoły aksamitnej dłoni.

Kochali ją wszyscy, nawet drapieżne zwierzęta schodziły jej z drogi, aby nie straszyc swym widokiem, i tylko z ukrycia, z miłością w oku przyglądały się smukłej dziewczynie.

Dzieci przepadały za nią, a matki chętnie zostawiały pod jej opieką swe maleństwa.

Danakho chętnie bawiła się z nimi, opowiadała bajki o wielkim lesie, po którym biegają małe, psotne May-may-gwenis - duszki leśne. Wieczorami śpiewała im piosenki o małych niedźwiadkach i rudych wiewiórkach, które nie chciały słuchać rodziców i które za karę porwał Zły Duch do północnej, lodowatej krainy.

Ale najbardziej kochał Danakho Tooli i na łowach myśl o niej dodawała mu męstwa i odwagi. Jego ramię stawało się wtedy silniejsze, jego oko bystrzejsze i nogi zwinniejsze.

Szczęśliwy był Tooli i szczęśliwa była Danakho. Kochali i szanowali ich ludzie plemienia i chętnie gościli w swoich namiotach, a oni każdemu, kto był w potrzebie, chętnie szli z pomocą.

Kobiety wieczorami śpiewały do snu dzieciom o wielkich czynach Tooli, o tym, jak pieśń jego cięciwy jest pieśnią śmierci dla wrogów i pieśnią obfitej uczyty dla przyjaciół.

W plemieniu krążyła legenda, że dopóki będą żyli Tooli i Danakho, plemię będzie silne i nigdy nie zazna głodu. Ale jeśli wybrańcy duchów zginą, zmarnieje plemię, a ziemię ich zajmą ludzie o bladych twarzach, o których krążyły straszne opowieści, a których jeszcze dotąd nie widzieli.

Tooli wybierał się na polowanie zawsze samotny, ale ubite zwierzęta sprawiedliwie dzielił pomiędzy wszystkich ludzi plemienia.

W czasie największego głodu, gdy wojownicy daremnie tropili zwierzynę i wracali do wioski z pustymi rękami, Tooli zawsze coś upolował, i nawet gdy była to znikoma ilość, dzielił mięso sprawiedliwie między dzieci i starców, sam przeważnie głodując.

Dumna była stara Mookhason i dziękowała Wielkiemu Duchowi, że obdarzył ją takim synem.

Pewnego razu wybrał się na łowy dzielny młodzieniec z ulubieńcem swoim, dwunastoletnim Osimo.

Chłopiec był odważny, sprytny, zwinny, a przy tym skromny, słuchał rad starszych, szybko przyswajał sobie nauki doświadczonych myśliwych, a rówieśnicy darzyli go szacunkiem i słuchali.

Tooli spostrzegł zalety Osimo i zabierał go na polowania, z przyjemnością obserwując jego szybkie postępy.

Wyruszyli z wioski na trzy godziny przed wschodem słońca, bo tuż po wschodzie ognistej tarczy można upolować więcej zwierzyny aniżeli przez cały dzień.

W milczeniu wędrowali na południe.

Czuli się pewnie między starymi drzewami obrośniętymi mchem. Omijali wystające ostre głązy i rwące potoki.

Tooli znał puszcze, ale kierował się nie tylko znajomością wielkiego lasu i przyrody - działał w nim instynkt, który prowadził go i wskazywał drogę.

Nim wzeszło słońce, znaleźli się na terenach, których panem był jelen. Wyszli na polanę przeciętą strumieniem o czystej zimnej wodzie.

Osimo był zmęczony i pragnienie paliło mu gardło po długim marszu.

Zbliżył się więc do strumienia, położył z rozkoszą w trawę wilgotną od rosy i zanurzył twarz w wodzie. W tym momencie rozległ się ostry trzask.

Osimo drgnął. Ciało jego skurczyło się raptownie, a bezwładna głowa opadła w wodę, której tak bardzo pragnął się napić. Z małej dziurki między zebrami wąskim pasem sączyła się krew.

Tooli jednym skokiem przypadł do martwego chłopca, ale w tej chwili trzask powtórzył się, głowę Tooli otuliły ciemności i padł bezwładny obok ciała Osimo.

Po przeciwległej stronie polany rozległ się głośny śmiech i z lasu wyszło dwóch białych mężczyzn prowadząc jucznego konia. Jeden z nich zagwizdał i po chwili spośród drzew ukazało się jeszcze trzech mężczyzn z bronią gotową do strzału.

Byli w wysokich sznurowanych butach, w wełnianych ubraniach, jakich zazwyczaj używali biali ludzie wędrujący po lasach północy.

Po zniszczonych ubraniach, zarośniętych i zakurzonych twarzach można było poznać, że ludzie ci już od paru tygodni znajdują się w puszczy.

Zbliżyli się do nieruchomo leżących ciał.

- Bill rzadko pudłuje - rzekł jeden z nich. - Dobra robota.

- O dwóch czerwonych diabłów mniej - dorzucił drugi.

Popatrzyli jeszcze na leżące ciała, a potem skierowali się w stronę zachodnią i znikli między drzewami.

Słońce było już wysoko, gdy Tooli podniósł ociężale głowę.

Z trudem dowlókł się do strumienia, zanurzył twarz w wodzie i łapczywie pił.

Kula ugrzęzła mu w brzuchu. Wiedział, że godziny jego życia oznaczył już Ken Manitou, Duch Śmierci.

Mimo straszego bólu, który palił wnętrzności, podniósł martwe ciało chłopca i na chwiejnych nogach, śpiewając Pieśń Śmierci, szedł przez puszcę.

W pniu wielkiej sosny znalazł dużą dziuplę, w której złożył ciało. Sam usiadł pod drzewem i monotonicznie śpiewając, przygotowywał się do wstąpienia na drogę zmarłych.

Zbliżała się chwila, w której na wieki miały się zamknąć oczy Tooli. I wtedy między drzewami ujrzał Gichy Manitou, który zbliżał się do niego z podniesioną dłonią, we wspaniałym białym pióropuszu, z fajką przyjaźni ulepioną z czerwonej gliny.

Usłyszał głos:

- Młodzięcze śmiały i dzielny, duch twój zostanie na ziemi, abyś mógł dalej pomagać swojemu plemieniu.

Poznałeś ludzi, których pragnieniem jest wyniszczyć naród twój. Duch twój musi pozostać, aby go bronić i ochraniać i nie zazna spokoju, dopóki trawa przy grobie małego Osimo nie zabarwi się krwią wrogów.

Zmienisz ciało, ale dusza twoja pozostanie ta sama.

Powrócisz do matki swojej w innej postaci.

Wypowiedziawszy te słowa Wielki Duch puścił z ust wielką pukwanę, w której powoli rozplynęła się jego postać.

Tooli wyteżył wzrok, lecz widział dookoła siebie tylko olbrzymie drzewa, jakby powleczone białą mgłą. Powoli zacierały się w jego oczach sylwetki drzew, coraz słabiej słyszał ptasi śpiew, a wreszcie owładnęła nim cisza i mrok.

Ruda wiewiórka zbiegła po pniu drzewa. Jej bystre oczka dojrzały śmierć. Zapiszczała smutnie, wyprostowała ogon i jednym skokiem znalazła się na gałęzi drzewa, żalonym piskiem oznajmiając sikorkom śmierć dzielnego Tooli.

Na próżno ludzie w wiosce oczekiwali powrotu myśliwego. Matka długimi dniami i w późne wieczory wpatrywała się w południową ścianę lasu w nadziei, że syn tak jak zawsze wynurzy się spośród drzew, obarczony zwierzyną.

Tooli i Osimo nie wracali.

Danakho całe dni spędzała w lesie na poszukiwaniu ukochanego i małego Osimo.

Niby smukła brzoza stawiała na skale i pytała drzew:

- O drzewa wysokie, co w upalne dni w cień swój mnie przyjmujecie i znacie nocne i dzienne życie puszczy, powiedzcie mi: Czy widziałyście mojego miłego? Czy przechodził tędy dzielny Tooli z małym Osimo?

Drzewa chyliły gałęzie w kierunku dziewczyny i szumiały cichą mową lasu:

- Przechodził tędy Tooli, zdrowy i lekki niby ryś, lecz stopy jego powrotnych śladów nie wydeptały. Spytaj lepiej, kochana Danakho, wiatru, który biega po całym lesie.

Dziewczyna nastawiała twarz pod zimny Wiatr Północny i pytała:

- Wietrze, myśliwski wietrze, powiedz mi o ukochanym, czy widziałeś go?

- Szedłem za nim aż do krainy południowej - odrzekł srogi Kabinoka. - Tam mój szlak się kończy i nie wiem nic o Tooli i Osimo, spytaj lepiej mego brata Shoondasi, Wiatru Południowego. Jego tam królestwo.

Biedna dziewczyna stała na skale smutna jak płacząca wierzba i czekała na Wiatr Południowy.

Wtem do jej stóp skoczyła ruda wiewiórka, a na ramieniu jej usiadły dwie sikorki i pliszka z czerwonym brzuszkiem.

Przykucnęła Danakho na skale i przytuliła policzek do rudego futerka zwierzątka.

- Co mi powiecie, mali leśni przyjaciele - szeptała. - Czy może wy widzieliście Tooli? Powiedzcie mi o nim.

- Oj, biedna Danakho, już on do ciebie nie wróci, już nie rozczesze kruczych warkoczy grzebieniem z rogu jelenia-olbrzyma, którego sam ubił - szepnęła wiewiórka.

- Nie powita już ciebie zwycięskim okrzykiem i nie otuli cię ramionami, tak jak zawsze to czynił, gdy wracał pełen chwały z łowów - zaświergotały sikorki.

- Z serca jego wypłynęła ciepła krew i wsiąkła w trawy leśne, a w serce twoje wszedł smutek, który zamieszka w nim na wieki, biedna Danakho - cichutko zapiszczała pliszka.

- W daleką drogę wyruszył dzielny Tooli, odszedł do Krainy Wiecznego Spokoju. Uśpił go na wieki Ken Manitou - zapłakały ptaszki.

Usłyszawszy to, Danakho bez zmysłów padła na zimną skałę i krew uciekła z jej ciemnych lic.

Ptaszyny przestraszone odleciały w las. Została tylko mała, ruda wiewiórka.

Dopiero późną nocą Danakho odzyskała przytomność. Otrzeźwił ją chłód nocy. Podniosła się z zimnej skały i oczami, w których nie było łez, spojrzała na ciemną puszcze.

Rysy jej twarzy stały się ostre i twarde niby skała, do której przylgnęła.

Zmienionym głosem rzekła do wiewiórki:

- Mała przyjaciółko, prowadź mnie tam, gdzie leży mój ukochany. Prowadź mnie prostą drogą, abym przed promieniami wschodzącego słońca, okryła głowę jego.

Nie zważając na ostre kamienie, które kaleczyły jej stopy, nie zważając na krzaki głogu, które chwyciły ją za suknię i włosy, biegła za wiewiórką.

Znalazła go z twarzą zanurzoną w trawie, jakby się chciał ostatnim pocałunkiem pożegnać z ziemią, na której się urodził, po której chodził, która go żywiła, z ukochaną ziemią przepojoną pachnącymi ziołami, z drugą matką swoją.

Danakho wpatrywała się w martwe, zastygłe rysy. Ileż to razy patrzyła na tę twarz, gdy zmęczony po łowach spoczywał w tipi przy ciepłe ogniska. Nie otworzą się już oczy jego, aby spotkać się z jej wzrokiem, a usta nie wymówią jej imienia.

Zginął Tooli, jej ukochany, drogi Tooli.

Nie mogła płakać, serce przytłoczone bólem zamieniło się w twarde kamień.

Wyciągnęła nóż, który niegdyś podarował jej Tooli, i na znak żałoby obciąła swe długie ciężkie warkocze.

Potem z gałęzi i korzeni drzew uplotła tobogan, złożyła na nim ciało ukochanego i ruszyła w stronę wioski.

Stara Mookhason, która wciąż wyczekiwała syna, pierwsza zauważyła Danakho z toboganiem. Po obciętych włosach dziewczyny domyśliła się wszystkiego. Poczula w sercu ostry ból, jak gdyby szarpnęły je orle szpony.

Zerwała się z ziemi. Rozpacz dodała siły jej starym nogom, dobiegła do toboganu i padła na ziemię koło syna. Siwe jej włosy okryły jego głowę, a gorące łzy matczyne spłynęły po twarzy zabitego.

Nagle poczuła lekkie dotknięcie dłoni Danakho.

- Wstań, matko Mookhason, nie rozpaczaj, zaśpiewaj lepiej pieśń o wielkich czynach swego syna i o drodze jego do Krainy Wiecznego Spokoju.

Staruszka wstała i z jej ściśniętego łzami gardła dobyły się słowa Pieśni Śmierci:

Nic nie żyje długo, z wyjątkiem ziemi i gór...

Na odgłos żałobnego śpiewu wylegli z namiotów ludzie i kto tylko żył, biegł na skraj wioski. Dzieci, kobiety i mężczyźni, niby czarna chmura, zbliżali się do żałobnego zaprzęgu.

W twarzach widniał przestach: w śmierci młodzieńca zobaczyli nadciągające widmo groźnej przepowiedni.

Najdzielniejszy, najukochańszy z nich zginął, opuścił ich. Co teraz z nimi będzie?

Milcząca ława ludzi w smutku i grozie zrównała się ze starą Mookhason. Setki ust powtarzały słowa pieśni umarłych, które złączyły się w jeden smutny głos płynący nad czubkami potężnych jodeł i skał do dalekiej krainy Gichy Manitou.

Drzewa przestały szumieć, ptaki przestały śpiewać i wśród ciszy lasów ten żalobny śpiew, płacz i lament słyhać było daleko.

Na przedzie szła matka Mookhason prowadzona przez dwie kobiety. Jej załzawione oczy nie widziały drogi. Za nią postępowała w milczeniu Danakho, ciągnąc ciało ukochanego.

Pochód przystanął przed tipi zmarłego. Czterech mężczyzn wniosło ciało do namiotu, aby przebrać je do ostatniej drogi.

Płacząca Mookhason i milcząca Danakho zostały przed namiotem. Danakho podniosła dłoń w górę i rzekła zwracając się do mężczyzn:

- Wojownicy, na skałach ułóżcie stos z drzewa, pragnę, aby Tooli uniósł się w niebo jako wielka pukwana. Wkrótce stos z białej kory brzoźowej i drzewa był gotów.

Tymczasem Tooli, ubrany w strój wodza z wyszywanymi odznakami plemiennymi, w ogromnym pióropuszu z orlich piór, z twarzą pomalowaną barwami pokoju, w niebieskie i białe poprzeczne pasy, biegnące od skroni przez nos do skroni, siedział oparty o słupek w swoim namiocie. Na plecach miał łuk i kołczan z pierzastymi strzałami, przy pasie tomahawk i nóż. Na piersiach, przy naszyjniku z kłów niedźwiedzich, miał zawieszony pięknie ozdobiony kołczan jeża woreczek, w którym znajdowały się różne zioła i tytoń, przydatne w Krainie Umarłych.

Najstarszy z wodzów wprowadził na stos konia zmarłego wojownika. Przywiązano go do poprzecznej belki, a czarownik wypuścił strzałę, zabraną z kołczanu Tooli, prosto w serce mustanga.

Pierzasty pocisk przebił wierzchowca na wylot. Koń pozostał jednak w postawie stojącej, podtrzymywany rzemiennymi wiązaniami. Ozdobiono go teraz piórami, a boki wymalowano w białe kółka i czerwone, krwawe dłonie.

Mustang był gotowy do odbycia razem ze swym panem drogi w Krainę Umarłych.

Czterej wojownicy nieśli w pozycji siedzącej ciało zmarłego, reszta śpiewała pieśń pożegnalną.

*Odszedłeś od nas, dzielny wojowniku,
poszedłeś do ojców twoich,*

aby wojować ze złymi duchami.

Wszystko na ziemi miałeś, dzielny wojowniku:

puszcze rozległe, zwierza dostatek,

miłość ludzi i żonę kochaną.

Rzuciłeś wszystko i do nas nie wrócisz.

Kobiety włosy rwą z głowy.

Czy słyszysz ich jęki?... Otwórz powieki! Tooli, wodzu niezwyciężony, wróg cię napadł zdradliwie. Krew twa będzie pomszczona! Z naszego rodu wyjdzie mściciel.

Śpiewy umilkły, gdy pochód zbliżył się do stosu.

Tu czekały niewiasty otaczając Mookhason i Danakho, ubraną w białą jelenią suknię ozdobioną gronostajowymi ogonkami. Kamiennie nieruchoma twarz Danakho nie zdradzała żadnych uczuć - wszystko w niej zamarło.

Ciało wniesiono na szczyt i posadzono na koniu, twarzą na północny zachód, tam gdzie znajduje się Kraina Umarłych.

Danakho, pożegnawszy starą Mookhason starodawnym znakiem pokoju, ruszyła w kierunku stosu. Przystanęła jeszcze na chwilę, popatrzyła na zebranych wojowników, na pobliską puszcę, na szczyty namiotów w wiosce, potem śmiałym krokiem zaczęła wstępować na brzoźowe pale.

Na szczycie raz jeszcze spojrzała na słońce, na jasne niebo, po czym uklękła, przytuliła twarz do stopy ukochanego i tak pozostała nieruchoma.

Żałosny jęk kobiet wznosił się w niebo, gdy podpalono korę brzoźową i buchnął jasny płomień, coraz wyżej obejmując bierwiona. Sycząc i parszcząc ogień z żarłoczną chciowością pochłaniał żałobny stos.. Wśród kłębow dymu i języków ognia mignęły czasem siedzące na koniu zwłoki wojownika i klęcząca niewiasta.

Z uroczystym przejęciem i trwogą patrzyli na to współplemieńcy.

Należało teraz odegnąć złe duchy, rzucili się więc wojownicy w taniec dookoła płonącego stosu. A tłum bił w dłonie, wymachiwał rękami, wyrzucając w górę oszczepy.

Stos płonął. Wtem gwałtownie sypnęły w górę czerwone iskry - oba ciała obsunęły się w ognistą rozżarzoną głębię, znikły.

Pieśni ucichły... Duchy wleciały w górę.

Słońce już zachodziło, gdy dziewczęta proch spalonych ciał poczęły zbierać w gliniane garnki, które potem wręczono starej Mookhason.

Siedząc teraz nocą przy ognisku i śpiewając tęskną pieśń wspominała staruszka ostatnie dni.

Cóż jej pozostało na starość? Dwa garnki popiołu z syna i synowej.

Została sama, ale mimo że w namiocie nie miała mężczyzny, który by dla niej polował, szczerp pamiętał o niej. Najlepsze kawałki mięsa nadal piekły się przy jej ognisku. Ona jednak nie myślała o sobie, myśli jej wciąż krążyły wokół syna i teraz, w tę noc ciemną, wpatrując się w ogień spostrzegła, że wśród płomieni powstaje jakaś ludzka sylwetka.

Przetarła oczy w zdumieniu.

Potrząsnęła głową jakby dla odegnania złych duchów. Spojrzała znowu w ognisko. Płomienie utworzyły wyraźnie kształt dwojga ludzi. Nie, wzrok jej nie myli.

Przyjrzała się uważniej płomiennym postaciom. Rozpoznała syna. Z nagą piersią, w skórzanych spodniach, z włosami umocowanymi na czubku głowy w węzeł, w pióropuszu z orlich piór, wyglądał tak jak wtedy, gdy wyruszał na ostatnie swe łowy. Twarz miał nieco bladą, ale tę samą: ostre rysy, głęboko osadzone oczy, cienki, nieco orli nos i usta zaciśnięte, zdradzające stanowczość i silną wolę.

Obok niego stała Danakho, taka sama jak dawniej - wesoła i szczęśliwa, że znajduje się przy boku ukochanego.

Staruszka wyciągnęła obydwie ręce w stronę płomienia.

- Synu, mój, ukochany synu, znowu widzą cię moje stare oczy. Syneczku mój, czy wróciłeś do starej matki? Odpowiedz mi, kochany, gdyż serce moje pęka z tęsknoty za tobą.

- Nie zbliżaj się za bardzo do ognia, matko, nie płacz, nie sprawiaj nam bólu. Ja będę żył matko, by pomścić się za krzywdę wszystkich mych braci. To zemsta każe mi pozostać na ziemi. Zmienię ciało, ale duszy nie zmienię. Czekaj na mnie, matko Mookhason.

Po tych słowach postacie Tooli i Danakho rozplynęły się w smugach dymu.

Staruszka zerwała się, podbiegła tak blisko do ognia, że płomienie sięgnęły jej sukni. Z wyciągniętymi rękami prosiła:

- O Wielki Duchu, co słowami Tooli przemawiasz! Gdzie on jest! Czy wróci jeszcze do mnie? Pozwól mu, aby wskazał chociaż, gdzie jest mały Osimo, po którym szczerp jest w żałobie. Najlepsi wojownicy szukali go w puszczy, lecz nie znaleźli ciała. Wskaż, gdzie on.

Dookoła jednak panowała cisza.

- Nie ma cię już, synu, odszedłeś, lecz mówiłeś, że wrócisz, będę więc czekać na ciebie choćby do końca moich dni.

Wiele dni - Małych Słońc - minęło od chwili, gdy w płomieniach ogniska ukazał się starej Mookhason syn. Pewnego dnia, powracając z łowów, wojownicy pojмали małego niedźwiedzia.

Krótko ważył się jego los. Rozstrzygnęła go Mookhason: - Dajcie mi małego grizzly, oswoję go i będzie dla mnie przynosił mięso, nie będę wam ciężarem. Niech chociaż on zastąpi mi syna, który był waszym przyjacielem.

Początkowo wojownicy opierali się, tłumacząc, że oswojenie małego gryźli byłoby dla staruszki zbyt wielkim trudem. W końcu jednak zostawili jej malca.

Opiekowała się nim staruszka troskliwie, aż wyrósł na potężnego olbrzyma. Wielkie łapy, uzbrojone mocnymi pazurami, wzbudzać mogły lęk w każdym przeciwniku. Wkrótce niedźwiedź starej Mookhason stał się sławny wśród okolicznych szczepów. Przystrojony w rozpoznawczy naszyjnik z piór sówich i kołców jeżozwierz, samotnie lub ze swoimi małymi przyjaciółmi - dziećmi ze szczepu - przemierzał leśne ostępy.

Grizzly kochał dzieci, tak jak przedtem kochał je Tooli. Dzieci dobrze wiedziały, że niedźwiedź nie zrobi im nigdy krzywdy, a matki rozumiały, że ich pociechy pod jego opieką są bezpieczne nawet w puszczy.

Tak jak dawniej, gdy żył Tooli, w wiosce nie brakło mięsa i ludzie zapomnieli o dniach głodu.

Było im lepiej i radośniej. Wieczorami przy blasku ogni znów tańczono myśliwskie tańce, a godło wyobrażające niedźwiedzia widniało niemal przy każdym tipi wojownika i na tarczach.

Niedźwiedź najlepiej czuł się jednak w namiocie staruszki, gdy przy ognisku nucila wieczorami swe tęskne pieśni wspominając syna. Przyczajony opodal, w mroku trwał bez ruchu, zasłuchany, i tylko w ślepiach migotał mu dziwny blask...

Czasami znikał w puszczy na parę dni. Wracał wychudły, z potarganą sierścią, z oczyma zasnutymi mgłą. Wtedy jeszcze czulej wpatrywał się w twarz staruszki i dłużej leżał przy ognisku. A Mookhason stawała się jeszcze bardziej troskliwa. Siedziała przy nim całymi dniami, drapała go po wielkiej głowie i śpiewała pieśni, które tak bardzo lubił słuchać.

Pewnego razu niedźwiedź nie wrócił jednak do wioski. Na próżno wojownicy szukali czworonożnego przyjaciela. Na nic zdało się przetrząsanie lasów i gór. Szczep znowu pogрузzył się w smutku, a stara Mookhason roniła łzy przy ognisku.

Wojownicy na znak smutku wieczorami rozpoczynali taniec niedźwiedzi. Naśladując ciężki powłóczysty chód Gichy Mokwy - niedźwiedzia, krążyli wokół ogniska, opadali na ręce, to znów wznosząc się na nogi kręcili się dookoła siebie. Potem w krąg tańczący wstępował czarownik ubrany w skórę niedźwiedzia. Wojownicy przystawali i w takt uderzeń bębnowy wybijali nogami rytm. Rozpoczynała się część tańca opisująca życie małego

niedźwiadka w szczepie, jego polowania i tajemnicze zniknięcie, które czarownik pokazywał w tańcu jako walkę z wilkami, i jego bohaterską śmierć.

Nim księżyc wpłynął na środek nieba, tańce ustawały i każdy w zamyśleniu odchodził do swojego namiotu.

Pewnego wieczoru staruszka długo jeszcze nie mogła usnąć, a gdy w końcu znużył ją sen i przymknęła oczy, usłyszała delikatne drapanie w skórę namiotu.

Mookhason podniosła się z posłania - u wejścia pojawił się łeb i bary niedźwiedzia, lecz jakże inaczej teraz wyglądał. Futro poszarpane, spojrzenie mętne, zginął gdzieś dawny blask jego oczu. Po lewej stronie ciała czerwieniła się wielka plama.

- Matko, to ja, Tooli-niedźwiedź. Spełniła się wróżba znad ogniska. Przez wiele Wielkich Słońc mieszkalem pod twym dachem, zaopatrując w mięso ognisko domowe i prowadząc myśliwych na łowy. Teraz nadszedł czas, abyś dowiedziała się reszty... Chodź ze mną.

Wymknęli się z wioski cichutko, przez nikogo nie zauważeni, i jak dwa cienie zanurzyli się w gęstwinie drzew. Tooli-niedźwiedź wziął na bary staruszkę i sobie tylko znajomymi ścieżkami pośród wysokich drzew i pomiędzy gałzami kierował się na południe.

Drogę tę przed laty przemierzał jako człowiek z małym Osimo, teraz prowadził nią swoją matkę i tylko nikłe w ciemności gwiazdy były mu drogowskazem.

Przed świtem niedźwiedź zatrzymał się. Mookhason zsunęła się z jego barów i rozejrzała się dookoła. Na wprost niej stała wielka sosna z dziuplą w potężnym pniu. Dokoła rosły gęste zarośla głogu i dzikich malin.

Niedźwiedź zbliżył się do dziupli.

- Tu spoczywa snem wiecznym mały Osimo, zabili go zdradziecko ci sami, co zabili i mnie: nienasyceń biali najeźdźcy. Przez cały ten czas, gdy znajdowałem się w waszej wiosce, matko, śledziłem ich i nagaiałem na miejsce zbrodni. I oto trzy noce temu stoczyłem z nimi walkę tu, gdzie zgładzili mnie i Osimo. Tego, co mnie zabił, a także jego towarzyszy, już nie ma.

Było ich pięciu.

Ta rana na moim lewym boku to pozostałość po siekierze piątego, gdy byłem już walką zmęczony.

Szkoda Osimo, byłby z niego dzielny wojownik. Zaopiekuj się, matko, tą mogiłą. Teraz już odchodzę. Żegnaj.

Staruszka poczuła delikatny uścisk potężnych łap. Przez chwilę kołysał ją w swoich ramionach syn-niedźwiedź, potem postawił delikatnie na ziemię, odwrócił się i powoli odszedł w puszcze.

Nie wołała go, nie płakała, wiedziała, że losu już nic nie zmieni, że musi się spełnić to, co duchy nakazały. Patrzała tylko za nim długo, aż znikł między drzewami. Jeszcze przez chwilę usta jej szeptały coś, co mogło być modlitwą i błogosławieństwem, potem odwróciła się i skierowała w stronę wioski...

Długo jeszcze Mookhason znajdowała przed swym progiem świeże mięso i ślady niedźwiedziich pazurów.

Długo jeszcze żaden biały nie śmiał pokazać się w pobliskich górach. Strasznie poszarpane kłami i pazurami trupy stanowiły groźną przestrozę.

Długo jeszcze po śmierci starej Mookhason wojownicy spotykali niedźwiedzia, który stojąc kiwał im z dala łapami, po czym znikał we mgle.

WIELKI CZYN SZALONEGO RUMAKA

Między wysokimi drzewami płynie powoli, majestatycznie wielka rzeka, spokojna i gładka jak roztopione szkło lub bezchmurne, jasne niebo w gorący letni dzień. Gdzieniedzie koryto rzeki zwęża się, prąd staje się ostrzejszy, podmywa brzegi, aby dalej znowu rozplynać się w szeroki, łagodny nurt. Wielkie złomy skalne o płaskich grzbietach, niby drzemiące potwory, wynurzają się z wody.

Po obydwu stronach rzeki rozciąga się odwieczna puszcza pełna tajemnic i duchów leśnych, odgłosów, pisków...

W dole przy ziemi, z dala od zielonych wierzchołków i splątanych konarów, leży kraina cieni, do której nigdy nie dociera słoneczne światło.

Nad głowami, pod nogami, z boku - wszędzie widać mech, który pokrywa całą puszcze, głuszy kroki. Czasami kopczyki mchu sięgają wysokości człowieka, a całe girlandy zwisają z konarów drzew. We wszystkie strony biegną korytarze wydeptane przez zwierzęta dążące do wodopoju. Wysoko na błękitnie nieba zawisnął orzeł, jakby na niewidzialnej nitce, w przybrzeżnych krzakach śpi jadowity grzechotnik.

Daleko, daleko na rzece pojawia się mały czarny punkt, który zbliża się, rośnie, aż w końcu przybiera kształt kanoe z kory brzozy. Wśród wąwozu z drzew jodłowych, powtarzających się echem szum kaskad i plusk wioseł, unosi się leciutko na wodzie jak zeschnięty jesienny liść. Orle pióra na głowach chwieją się zgodnie, miedziane karki drgają jednakowo w takt wiosłowania.

Promienie słońca delikatnie igrają na wilgotnych wiosłach wynurzanych rytmicznie z wody. Po naszyjnikach z długich kłów i niedźwiedzych pazurów, po kosmykach włosów opuszczonych na czoło, między oczy, sięgających aż do połowy nosa, można poznać mężczyzn z plemienia Cree. Potężne torsy, spocone z wysiłku, błyszczą w słońcu niby wypolerowana miedź.

Śpieszyli, aby wyprzedzić białych i zawiadomić swoich o grożącym niebezpieczeństwie. W górze rzeki napotkali ślady prowadzące w kierunku wioski plemienia Cree. Białe twarze musiały tędy przechodzić jakieś dwa dni temu.

Mieli jeszcze dwa dni ciężkiej drogi i dwa wodospady do przebycia. Zwały wody spadały z wielkim grzmiotem i szumem z wysokości pięćdziesięciu metrów i rozbijając się o załomy skalne na drobne cząsteczki, tworzyły wielką wodną chmurę. Wodospady te nazywano „Wodami, które mówią”.

Dwaj wojownicy pomylili się jednak sądząc, że wyprzedzą białych najeźdźców, bo teraz oto zbliżali się do miejsca, w którym białe twarze urządziły zasadzkę.

Słońce świeciło prosto w oczy wiosłujących, nie mogli więc zobaczyć ludzi, dobrze ukrytych i zamaskowanych wśród gałęzi olbrzymiego drzewa. Podmyte przez rzekę, pochylało się nad wodą, płacząc swoje górne konary z konarami drzew rosnących na przeciwległym brzegu.

A biali świetnie obmyślili swój plan:

W odległości dwóch lotów strzały zostawili kilku swoich, którzy spokojnie pozwolili wojownikom przepłynąć, a potem wyskoczyli na brzeg, hałasując, krzycząc i strzelając.

Obydwaj wojownicy byli przekonani, że w tym właśnie miejscu minęli białych, i nie spodziewali się już zasadzki. Wiosłując zaciekle, płynęli pod pochyłe drzewo i... w tym momencie poczuli na swoich ramionach rzemienne lassa. Napad był tak nieoczekiwany i szybki, że nie zdążyli nawet chwycić za broń. Skrępowanych rzemieniami doholowano do brzegu.

Biali otoczyli ich dokoła.

- No cóż, czerwone skóry, nie spodziewaliście się takiego figielka, co? - pytał łamanym językiem ich plemienia jeden z białych.

- Nasze „długie oczy” wykryły was prędzej, niż się tego spodziewaliście - rechotał inny potrząsając czarnym, podłużnym przedmiotem.

Indianie milczeli nie zważając na obraźliwe słowa ani na szturchańce, których im nie żałowano.

- Słuchajcie, czerwone łotry, potrzebni nam jesteście jako przewodnicy do waszej przeklętej wioski - zaczął jeden z białych wyglądający na dowódcę oddziału. - Jeżeli spisze się dobrze i najkrótszą drogą doprowadzicie nas do swego plemienia, darujemy wam życie.

- Biali ludzie mają kłamiwy język i dziesięć razy w ciągu dnia zmieniają swoje słowa - odrzekł jeden z wojowników.

- Moim słowom możesz wierzyć, zawsze dotrzymuję obietnicy - odparł biały drab. - Aby udowodnić wam, że jesteśmy waszymi przyjaciółmi - mówił dalej - każę zdjąć wam pęta. Siadajcie z nami przy ognisku.

Ledwie spadły więzy z rąk wojowników, jeden z nich silnym uderzeniem pięści powalił najbliższego stojącego białego i zanim zorientowano się w sytuacji, Indianin skoczył w gęstwinę drzew i przepadł w lesie.

Kilku białych klnąc rzuciło się za nim w pogoń, inni powalili drugiego Indianina, skrepowali go i rzucili na ziemię.

Wściekli, że nie schwytali zbiega, mścili się na leżącym i skrepowanym.

- Ty psie czerwony, zapłacisz nam za ucieczkę tamtego. Służyć nam będziesz i stopy lizać, dzikusie przebrzydły.

Ale wojownik leżał nieruchomo, żadne słowo nie padło z jego zaciśniętych ust. Doprowadzało to białych do jeszcze większej wściekłości. Wreszcie położył temu kres dowódca:

- Precz mi od niego! Tamten uciekł i na pewno wkrótce zawiadomi swoją hołotę o nas. Natychmiast musimy wyruszyć, a ten - tu wskazał na leżącego - musi mieć tyle sił, aby mógł poprowadzić nasze łodzie. Ładować się natychmiast! Wyruszamy!

Ludzie pobiegli do ukrytych łodzi, by zepchnąć je na wodę i załadować na nie broń i sprzęt. Dwóch pozostało na straży przy związanym jeńcu. W czasie tych przygotowań na drugim brzegu rzeki rozległ się trzykrotny krzyk sowy.

Biali nie zwrócili uwagi na ten głos - w lasach pełno było sów. Ale Indianin poznał głos przyjaciela - przecież sowa nie odzywa się w dzień.

- Ej, ty, czerwony - odezwał się jeden ze strażników - jak ciebie nazywają w twojej wiosce?

- Nazywam się Eucheta - odpowiedział Indianin.

- Aha, to w waszym dialekcie znaczy: Szalony Rumak?

Indianin skinął głową potwierdzająco.

- No chodź, Eucheta, chodź i bądź posłuszny. Bo po drodze możesz połknąć parę gramów ołowiu.

Przy łodziach podszedł do nich dowódca i jeszcze raz zapytał Indianina:

- No co, namyśliłeś się? Zgadzasz się być naszym przewodnikiem?

- Szalony Rumak pokaże drogę bladym twarzom - odrzekł krótko Indianin.

Wsiadli wszyscy do olbrzymiej łodzi, odepchnięto się wiosłami od brzegu.

Dopiero teraz odwiązano Indianinowi ręce i podano mu wiosło do sterowania. Łódź, ciężka i duża, płynęła wolniej niż indiańskie kanoe.

Ucieszył się Szalony Rumak - nie wyprzedzą przyjaciela, który będzie biegł wzdłuż brzegów. Od czasu do czasu z gąszczu leśnego odzywały się głosy różnych ptaków - to przyjaciel dawał znaki, że jest i czuwa.

Im bardziej posuwali się w dół rzeki, tym więcej pojawiało się wystających głazów, pomiędzy którymi szalały prądy i wiry. Przemykali się przez katarakty wśród spienionych wód, które potrafiłyby wciągnąć najpotężniejszy pień drzewa i rozbić go w drzazgi. Szalony Rumak mógłby się bardzo szybko pozbyć swych wrogów, ale wołał poczekać, wołał znaleźć dla nich pewniejszą śmierć.

W niebezpiecznych miejscach biali podejrzliwie patrzyli na Indianina. On natomiast zachowywał się wyniośle i poważnie, niczym nie zdradzając dojrzewających w jego sercu planów.

Oto znowu zbliżają się do katarakty, wpadli w ostry nurt, który z wielką szybkością niesie ich między skałami, przypominającymi zęby ogromnego, wściekłego szczupaka. Biali ludzie przymykają z trwogą oczy, w bryzgach fal i w wirach widzą już swoją śmierć. Lecz jeden nieznaczny ruch ręki Szalonego Rumaka wystarcza, by łódź wyskoczyła ze spienionej kipieli na spokojną wodę.

Wśród szumu wody czułe ucho Szalonego Rumaka chwytła odległy grzmot największego i najgroźniejszego z wodospadów.

Pędzą coraz szybciej, wreszcie wpadają między wysokie czarne skały - woda tu szaleje i białą pianą pryska dookoła. Indianin nie hamuje rozpędzonej łodzi, jeszcze bardziej przyspiesza jej bieg. Gdy mijają jeden z wielkich kamieni, błyskawicznie odbija się od dna łodzi i mocnym, sprężystym skokiem dostaje się na bezpieczną kamienną platformę.

Łódź z białymi pognęła dalej. Czarne fale rzeki podrzucają niedoleżną lupinę, aby ją tym pewniej zdruzgotać o kamienie. Rozlega się głuchy trzask i rozpaczliwy krzyk białych, ale już po chwili panuje spokój, jak gdyby nic się tutaj nie stało.

Od tego czasu wodospad ten nazwano: „Wodospadem Białych Twarzy”.

GICHY NAHMA

Pewnego dnia Natu Sath wybrał się przed wschodem słońca na Gichy Gumee, Wielką Wodę. Z szuwarów wyciągnął lekkie kanoe z kory brzoźowej, naładował na nie wędkę cedrową i oścień i popłynął na spotkanie słońca.

Postanowił złowić jesiotra - Nahmę, o którym kobiety opowiadały w wiosce straszne rzeczy.

Podobno wciągał on w głębiny wodne małe dzieci, podobno porywał kąpiące się młode dziewczyny.

Na wioskę padł strach i nikt nie chciał zbliżyć się do jeziora, mimo że było ono pełne tłustych ryb i raków.

Kiedy Natu Sath opuszczał swoją rodzinną wioskę, nad namiotami zawisł smutek jak gradowa zimowa chmura. Wszyscy byli przekonani, że młody śmiałek zginie, że zostanie pokonany przez straszliwego Gichy Nahmę. Nikt go nie zegnał uśmiechem ani radosną pieśnią.

„Żegnają mnie słowami śmierci - myślał Natu Sath słysząc żalosne dźwięki - lecz ja dam im radość i uśmiech”.

Kiedy słońce wypłynęło ponad wierzchołki drzew, był już na środku jeziora.

Kanoe delikatnie pruło dziobem lustrzaną taflę jeziora. Młody wojownik wpatrywał się w przejrzystą wodę, pełną życia i barwy, szukając Gichy Nahmy, ale nigdzie nie mógł go dojrzeć. Widział tylko różne inne ryby pływające niby srebrne strzały. Daleko w dole, w głębinie, błysnął żółty okoń - Sahwe, podobny do promyka słońca, rak - Shaw-gaskee pełził po białym piaszczystym dnie niby ogromny ciemny pajak. Drobne rybki przepływały pod jego łodzią, migocząc wszystkimi kolorami tęczy.

Na dziobie łodzi siedziała oswojona wiewiórka - Adi-daczmo, a wiatr kołysał jej ogonkiem. Nagle młody wojownik jednym szarpnięciem wiosła zatrzymał łódź w miejscu. Srogi potwór Gichy Nahma leżał tuż pod nim, na dnie jeziora. Nakrapiany szarymi i czarnymi punktami, wachlując się purpurowymi płetwami, ufny w swoją moc i siłę, leniwie wdychał skrzelami wodę i ogonem zamiatał piaszczystą podłogę. Odpoczywał. Po każdej stronie ciała miał potężną tarczę, a na czole płytę z kości. Wzdłuż jego grzbietu przebiegała potężna kościana piła. Wymalowany w barwy bojowe - w żółte, czerwone i lazururowe pasy - mienił się w wodzie jak wojownik w słońcu, gdy wyrusza na wojnę.

Długa Lanca zaśmiał się bezgłośnie, zarzucił swoją cedrową wędkę i krzyknął w głębinę do jesiotra:

- Chwyć moją przynętę, Królu Ryb, wyjdź na powierzchnię, a spróbujemy swoich sił!

Gichy Nahma milczał, a Natu Sath siedział cierpliwie w łodzi i czekał. Dookoła jego głowy latały czajki i mewy.

- Zabij go, dzielny młodzieńcze! - prosiły. - Uwolnij nas od potwora, co nam pożera dzieci!

- Bierz przynętę, Królu Ryb! - zawołał wojownik. Lecz jesiotr nadal leżał na dnie jeziora i wachlował się leniwie ogonem. Wreszcie znudziły mu się krzyki czajek, mew i wołanie Natu Satha, więc rzekł do szczupaka - Kenorka:

- Weź przynętę tego wrzaskliwego człowieka i urwij linę.

Długa Lanca poczuł szarpnięcie - lina naprężyła się jak cięciwa łuku, wędka się wygięła. To szczupak - Kenorka uczepił się przynęty i chciał wciągnąć wojownika w głąbie jeziora. Przecenił jednak swe siły i teraz, nie mogąc uwolnić się od kościanego haczyka, walczył o życie. Jak strzała wyprysnął nad powierzchnię wody, aby nagłym zwrotem zginąć w głębinach. Ale nie zerwał linki.

Natu Sath przewidział wszystkie te manewry: kiedy szczupak szalonym pędem mknął w głąb jeziora, młody wojownik popuszczał linę, aby znów go potem ściągnąć pod burzę kanoe.

Ruda wiewiórka oczkami, czarnymi paciorkami przyglądała się walce. Nakryła się kosmatym ogonkiem i wystraszona wyglądała jak nieruchomy brązowy posążek.

A szczupak coraz słabiej rzucał się i szarpał, aż w końcu osłabł tak, że Indianin bez trudu wyciągnął go z wody.

Gichy Nahma, widząc porażkę swojego wiernego sługi, szalał ze złości. Ruchy jego stały się gwałtowne i szybkie. Walił ogonem dookoła siebie, wzbijając w górę piasek i muł. Co chwila otwierał paszczę pokazując duże i ostre zęby, przed którymi truchleli mieszkańcy jeziora.

Wysłał teraz do walki ogromnego raka - Shawgaskee, którego nożyce zdolne były za jednym zamachem przebić wąż brzożowe kanoe.

Mimo że Shawgaskee płynął z szybkością spadającej gwiazdy, oścień Natu Satha był szybszy i wpadł w głąbinę wody niby piorun wyrzucony silną ręką wojownika. Pancierz ogromnego raka rozprysł się jak stary garnek. Shawgaskee martwy opadł na dno, prosto przed rozwścieczony pysk Gichy Nahmy.

Na powierzchni jeziora, w łodzi brzożowej, śmiał się dzielny wojownik i wołał w głąbiny wodne:

- No chodź, dumny Gichy Nahmo, niech i z tobą się rozprawię. Stań do walki, zabójco dzieci, pragnę ciebie zabić i głowę twoją wysuszyć w słońcu.

Olbrzymi jesiotr nie mógł już dłużej słuchać tych obelżywych słów. Z piaszczystego dna pomknął w stronę wojownika jak wielki srebrny pocisk.

Płytą kości grzbietowej przeciął wędkę cedrową, jak gdyby była z trzciny. Dokoła kanoe skłębiła się woda. Zdawało się, że nie jeden jesiotr atakuje, ale że są ich dziesiątki, setki - tak się dwoił i troił Gichy Nahma.

Nim Długa Lanca zamierzył się ościeniem, jesiotr znajdował się już w dziesięciu innych miejscach. Wreszcie wyprysnął ponad wodę i jak szybująca jaskółka wyleciał nad kanoe; w locie zdał skórę z ramienia Natu Satha i wpadł w wodę po drugiej stronie łodzi. Atak był tak błyskawiczny i tak niespodziewany, że Długa Lanca nie zdążył zrobić najmniejszego ruchu, aby się przed nim obronić. Ruda wiewiórka, śmiertelnie przerażona, rzucała się w szalonych susach po łodzi, nigdzie nie mogąc znaleźć kryjówki; wreszcie opadła na dno i legła obok martwego szczupaka jak grudka czerwonej gliny. Zrozumiał młody wojownik, że Gichy Nahma jest godnym przeciwnikiem, że musi wyteńczyć wszystkie swe umiejętności, całą siłę i zwinność, aby pokonać Króla Ryb.

Postanowił złapać jesiotra żywcem. Odłożył więc oścień, ujął krótkie szerokoskrzydłe wiosło, nachylił się lekko do przodu i wyteńczył słuch. Odgadł, że przeciwnik po to zanurzył się głęboko i odpłynął daleko do tyłu, by go zmylić. Nie obracał się jednak i nie śledził go wzrokiem, aby jesiotr myślał, że Indianin nie przejrzał jego zamiarów. Natu Sath dobrze jednak słyszał, jak górna płetwa jesiotra gwałtownie i ostro tnie powierzchnię wody. Rozległ się plusk. Gichy Nahma wyprysnął z jeziora, prosto na kark Natu Satha. Lecz młody wojownik uchylił się błyskawicznie i jesiotr przeleciał nad nim. Nim zdążył jednak wpaść w wodę, wiosło mignęło w powietrzu, uderzyło w bok potwora i strąciło go na dno kanoe.

Wiewiórka - Adidaczmo, oszalała. Prostym słupem wyskoczyła w niebo, spadła na burtę kanoe, a stąd jednym susem znalazła się na ramieniu Natu Satha. Wytrzeszczonymi ślepkami spoglądała na rzucającego się bezsilnie Gichy Nahmę, który z wściekłością walił ogonem o burtę, prężył się i odbijał od dna. Ale na nic zdały się te wysiłki; osłabły legł w końcu bez ruchu na dnie łodzi, szeroko otwierając skrzela.

Natu Sath patrzył na pokonanego wroga i śmiał się głośno.

- No cóż, Gichy Nahmo, skończyła się między nami wojna, uległeś mi, chociaż nie wierzyłeś w moje siły wysyłając przeciw mnie słabszych od siebie wojowników: szczupaka - Kenorka, i raka - Shawgaskee. Sam teraz leżysz tu u moich stóp jak słabe dziecko. Ucieszą się kobiety, kiedy podaruję im twój wysuszony łeb. Popatrz tylko, Gichy Nahmo, jak się raduje wodne ptactwo twoją porażką. Już nie będziesz pożerał ptasich piskląt, ty przebrzydły żarłaczku.

Jesiotr milczał i leżał nieruchomo.

Natu Sath zanurzył wiosło w przejrzystej i spokojnej wodzie, wykręcił kanoe w stronę brzegu i powoli popłynął ku wiosce, nucąc pieśń zwycięstwa.

Nad głową jego, kwiląc radośnie, unosiło się stado różnorodnego ptactwa. Wiewiórka z zadowoleniem cmokała mu do ucha.

Gdy pod dziobem kanoe zazgrzytał przybrzeżny piasek, milczący dotąd Gichy Nahma jęknął głucho, zaruszał skrzelami i błagalnym głosem wyszeptał:

- Daruj mi życie, wielki wojowniku, i wpuść mnie z powrotem do jeziora. Cóż będziesz miał ze śmierci mojej? Przyrzekam ci, że jeżeli mi darujesz życie, nie skrzywdzę więcej nikogo. Naganiać będę w twoje sieci ryby z całego jeziora i nigdy plemię twoje nie zazna głodu. Puść mnie do jeziora, młodzieńcze.

Ucichły strwożone ptaki i w milczeniu wyczekiwały na odpowiedź Długiej Lancy. Ale młody wódz milczał.

Wtem jakiś ogromny cień padł na łódź. Cicho szybując zlatywała z przestworzy olbrzymia szara czapla - Shuh-shuh-gah. Zatoczyła olbrzymie koło i usiadła na brzegu.

Wojownik spojrział na nią pytająco.

- Będąc tam w górze, słyszałam, co mówił Gichy Nahma - zaczęła czapla. - Jego język jest językiem jaszczurki. Czarne ma myśli jak i plamy na swoim ciele. Nie wierz mu, Długa Lanca. Pragnie on znowu wydostać się na wolność, aby buszować bezkarnie po Gichy Gumee. Walkę z tobą przegrał i gdybyś go puścił, więcej byś go nie oglądał. Unikałby ciebie, ale w dalszym ciągu nękałby bezbronne ofiary. Zabij go, Natu Sath, a jego plugawy język niech więcej nie zanieczyszcza mowy. Wysusz głowę jego i umieść ją na swoim kanoe, a pomoże ci ona łowić więcej ryb, niż dotąd złowili wojownicy z twojej wioski. Ciało wyrzuć na brzeg jeziora. Niech czarne mrówki zjedzą mięso jego, a słońce niech wybieli kości.

Długa Lanca posłuchał rady mądrej Shuh-shuh-gah. Jednym uderzeniem tomahawka odebrał życie podwodnemu potworowi.

Rozkrzyczały się z radości chmary ptactwa, a zwabieni tym ludzie przybiegli tłumnie nad brzeg jeziora. Jakaż radość zapanowała wśród nich, gdy zobaczyli żywego młodzieńca, a na dnie łodzi martwego jesiota.

Rozległy się odgłosy bębnow i orlich piszczałek. Wśród Tańca Ryby nadziali martwego potwora na dzidy. Tańce trwały do późnej nocy, a lasy przybrzeżne pomnażały echem radosne okrzyki.

Nad ranem odrąbano głowę jesiota i zaniesiono ją uroczyście do Długiej Lancy. Młody wojownik powiesił ją na sośnie. Pod gorącymi promieniami słońca i pod ciepłym

powiewem wiatru głowa schła przez kilka dni, aż zrobiła się w końcu błyszcząca i twarda - wtedy przybił ją Natu Sath na dziobie swojego kanoe.

Od tej chwili, ilekroć Długa Lanca wyjeżdżał w swej łodzi na Wielką Wodę, wracał zawsze z pełną łodzią srebrnych ryb, odprowadzany przez rozśpiewane ptactwo. Dobijał do brzegu tam, gdzie na żółtym piasku bieleły się kości straszego Gichy Nahmy. Sława jego rozniosła się szybko po okolicznych plemionach i szczepach, a w niedługim czasie stał się wielkim i mądrym wodzem Dakotów.

CZTERY WIATRY

W czasie kiedy walczyły o władzę nad ziemią i powietrzem zwierzęta i ludzie, plemię Mudjekeewisa pogardzane było przez wszystkie szczepy i rody Indian. Stronili od niego wojownicy i z daleka omijali jego namioty. A wrodzy mu Odżibwejowie za hańbę poczytywali sobie zabicie wojownika z tego nędznego plemienia.

Dlaczegoż to takiej pogardy doczekali się wojownicy Mudjekeewisa? Czy byli mniej dzielni i waleczni od innych plemion? A może zhańbili się jakimś niegodnym czynem?

Tak, to było niegodne sławnych wojowników: pozwolili skraść sobie w biały dzień, ze środka obozu, świętą opaskę Wampuni. Opaskę, która wynosiła ich ponad wszystkie plemiona, pochodzące od Sachen, pierwszego człowieka rodu, i dawała im władzę nad siłami nie ujarzmionej jeszcze natury. Skradł ją Gichy Mokwe, wielki niedźwiedź z krainy wiecznych śniegów. Wykorzystał okazję, kiedy wszyscy wojownicy byli na łowach, a w wiosce zostali tylko starcy i kobiety.

Smutek i żałoba owładnęły plemieniem po stracie Wampuni. Mężczyźni powymywali z włosów wszystkie pióra, kobiety poobcinały sobie wspaniałe warkoczki, nawet dzieci uległy temu smutkowi - nie słychać było radosnych okrzyków i śmiechu, nie widać było dziecinnych igraszek i gonitw. Życie w wiosce zamarło.

Stary wódz plemienia, Mudjekeewis, cierpiał nad tym bardzo, aż wreszcie pewnego dnia wyruszył samotnie do północnej krainy, aby odszukać tam Gichy Mokwe, zabić go i odebrać mu świętą opaskę Wampuni.

Szedł przez wiele Małych Słońc, aż wreszcie dotarł do dalekiej krainy, gdzie drzewa pokryte były śniegiem, pod którego ciężarem powyginały się tak dziwnie, jakby słuchały jakichś tajemnych odgłosów ziemi. Góry i skały, poubierane w białe czapy, stały poważne i milczące, jak gdyby zastygłe w wiecznym śnie.

Mudjekeewis szedł powoli, a wokół panowała taka cisza, że słyszał bicie własnego serca i szmer płynącej w żyłach krwi. Nagle w krzakach rozległ się przejmujący pisk.

Mudjekeewis rzucił się w stronę, z której dochodził głos, i odgarnął gęste gałązki wielkiego jałowca. Siedział tu zaplątany w nich i pokłuty ostrymi igiełkami biały królik - Wabasso. Uwolnił go stary wódz i puścił na białe pola. Wabasso odbiegł kawałek, ale zatrzymał się i rzekł:

- Dziękuję ci, Mudjekeewisie, za ocalenie życia. Aby ci się wywdziękzyć, wskażę ci kryjówkę Gichy Mokwe. Na najwyższej z wysokich gór leży on przy złamanym świerku. Pograżony jest we śnie, a więc spiesz się, abyś przed jego rozbudzeniem odzyskał swoją opaskę.

Mudjekeewis podziękował skinieniem ręki, a Wabasso poskoczył i rozpuścił się w bieli śniegu.

Stary, znękany wódz rozpoczął teraz wędrówkę na wskazaną przez białego królika górę. Ożywiony nadzieją spełnienia swych pragnień, szybko dotarł do celu. W pobliżu szczytu skradał się ostrożnie, przemykał między ośnieżonymi kamieniami jak gronostaj - szybko i niewidocznie. Najmniejszy hałas mógłby obudzić Gichy Mokwe, a wtedy nie zdobyłby opaski, lecz stracił życie, a plemię jego na zawsze zostałoby z piętnem hańby.

Bezszelestnie, jak biały duch, dosięgnął szczytu. Przy zwałonym świerku leżał ogromny niedźwiedź górski. Śpiący, nieruchomy, wyglądał jak skała obrosła szarobrunatnym mchem. Na szyi niedźwiedzia widniała święta opaska Wampuni. Stary wódz podszedł do zwierza, jak mógł najciszej i jak mógł najbliżej.

Przykłęknął i delikatnie począł ściągać opaskę z szyi zwierzęcia. Czuł na rękach ciężki, ciepły oddech niedźwiedzia, a czerwone pazury zwierza budziły dreszcz niepokoju. Ale stary wódz nie uląkł się. Ostrożnie przeciągnął opaskę przez uszy, które nie słyszały, i przez oczy, które nie widziały.

Wreszcie podniósł się ze śniegu, zawiesił opaskę na swojej szyi i wydał potężny okrzyk wojenny, który wielokrotnym echem odbił się od skał.

Gichy Mokwe zerwał się, lecz potężne uderzenie tomahawka między oczy zważyło go na ziemię. Stęknął ciężko, próbował stanąć, lecz nogi jego trzęsły się jak osika. Zrozumiał, że nie jest zdolny do walki, i zakwilił przejmująco jak słaba kobieta. Zachwiał się, zatoczył i ciężko dysząc opadł na śnieg. Potężny Mudjekeewis stał przed nim bez trwogi, drwił z niego głośno i szydził:

- Chrap sobie dalej, misiu! Jesteś tchórzem, a nie dzielnym wojownikiem, za którego się uważałeś. Krzyczysz teraz i wzdychasz jak nieszczęśliwa kobieta. Nasze plemiona są liczne, a wojowników naszych jest tylu, ile liści na drzewach, ile piasku na pustyni. Długo

wojowaliśmy z tobą, aż teraz przekonałeś się, że my jesteśmy mocniejsi. Od dzisiaj będziesz umykał przed nami w lasy i góry. Zrozumiałeś wreszcie, że nie zwyciężysz mnie w walce.

Chociaż mocno nas skrzywdziłeś kradnąc świętą opaskę Wampuni, nie krzychałem i nie płakałem, a ty, misiu, siedzisz tu i wzdychasz. Wstydź się swojego rodu. Lamentujesz i jęczysz jak uciekający jeżozwierz - Shangodeja. Jęki twoje podobne są do jęków starej, zgryźliwej kobiety. Mam ich dosyć! - I wznosił Mudjekeewis swój topór wojenny, i uderzył Gichy Mokwe w sam środek czoła.

Pękła czaszka niedźwiedzia jak słaby lód przed natarciem płynącego kanoe.

W ten to sposób został zabity wielki górski niedźwiedź, postrach leśnych okolic, postrach ludzi.

- Chwała niech będzie Mudjekeewisowi! - zakrzyknęli wojownicy, zakrzyknęli starcy, kiedy wódz powrócił ze świętą opaską Wampuni z kraju Wabasso - białego królika.

Radowało się plemię i cieszyły się okoliczne szczepy. Tańczono i śpiewano całe noce i dnie na cześć Mudjekeewisa, a sam stary wódz musiał kilkakrotnie opisywać, jak zginął szary niedźwiedź. Za ten czyn chwalebny został on wybrany przez ludzi swojego plemienia ojcem wszystkich wiatrów. Siedziba jego znajdowała się tam, gdzie ścieżką zachodzącego słońca odeszli dawno zmarli wodzowie, którzy teraz użycjali mu swojej mądrości i rad. Dlatego nie nazywano go już więcej Mudjekeewisem, tylko Kabeyu-nem - Zachodnim Wiatrem.

Inne rozdał swoim dzieciom. Najmłodszemu, Unto Wa-bunowi, podarował Wiatr Wschodni. Południowy dał leniwemu Shoondasiemu, a Wiatr Północny, dziki i okrutny, straszliwemu Kabinoce. I od tej pory porzucili powłokę ludzką i jako duchy wiatrów zamieszkali w różnych stronach świata, sprawując tam władzę.

WABUN - WIATR WSCHODNI

Młody i piękny był Wabun. To on przynosił poranek dnia, jego to srebrne strzały rozpraszały ciemności nad wzgórzami i dolinami. Policzki jego miały barwę szkarłatu i użyczały światu ciepła. Głos jego budził uśpione wioski, przyzywał jelenie, a myśliwych wołał na tropy zwierząt i łowy.

Samotny jednak czuł się Wabun na niebie, chociaż ptaki śpiewały mu wesoło, chociaż dzikie kwiaty prerii napełniały powietrze cudną wonią. Nie cieszyła go powitalna pieśń lasów i rzek, serce jego było ciche i zasmucone, ponieważ był samotny.

Pewnego poranka, kiedy wioski jeszcze spały na ziemi, kiedy mgły kłębiły się nad rzeką jak duchy, które znikają ze wschodem słońca, Wabun spostrzegł dziewczynę idącą samotnie po prerii. Zbierała ona tatarak i sitowie nad rzeką.

Każdego poranka, gdy zjawiał się nad wioskami i prerią, zaglądał z zachwytem w oczy niebieskie niby dwa jeziora. Pokochał samotną dziewczynę, a ona czekała teraz codziennie na jego przyjście. Tak samo jak on, była samotna - on na niebie, a ona na ziemi. Każdego poranka uwodził ją uśmiechem słońca, pieścił aksamitnymi podmuchami, wzdychał do niej i śpiewał wśród gałązek drzew. Zalecał się do niej najłagodniejszą muzyką i najśłodszymi zapachami, aż wreszcie przyciągnął ją do siebie, otulił szkarłatnymi szatami, poniosł hen, daleko na drogi niebieskie i zamienił w gwiazdę, a ona drżała z zachwyty w jego ramionach.

Od tamtej chwili każdego poranka można zobaczyć na niebie, jak razem spacerują Wabun i Wabun Anung - Wabun i Gwiazda Poranna.

KABINOKA - WIATR PÓŁNOCNY

A okrutny Kabinoka mieszkał wśród gór lodowych w krainie wiecznych śniegów, w królestwie Wabasso.

Jego to ręka w jesieni malowała drzewa szkarłatem, plamiła liście czerwienią i złotem. On był tym, który posypywał świat płatkami śniegu, który biegał po puszczy gwizdząc ostro i mroził wody jezior, stawów i rzek. Pędził rybitwy i mewy na południe, przeganiał kormorany i czajki do ich zimowych gniazd z trzciny i sitowia w królestwie Shoondasi.

Pewnego razu okrutny Kabinoka wyszedł ze swego legowiska wśród zamieci śnieżnych i gór lodowych, a włosy ze śnieżyc spływały mu na plecy jak rzeka.

Puścił się biegiem na południe, dziko wyjąc i świstając, przebiegał zamrożone jeziora, bagniska i ośnieżone lasy.

Nagle wśród wikliny i sitowia ujrzał nurka - Szindżebisa, który widocznie nie chciał odejść do krainy Shoondasi. Ciągnął on za sobą złowioną rybę przez bagna i błota zamrożone.

Zdziwił się początkowo Kabinoka, że ktoś jest jeszcze w jego królestwie, i wrzasnął:

- Kto to odważa mi się sprzeciwić? Kto to pozostał w kraju moim, kiedy już dzika gęś - Wawa, odleciała na południe. Dawno już nie ma śladu po siwej czapli - Shuh-shuh-gah. Wejść do twego tipi i wygaszę tlejący płomień, a ciebie zamienię w bryłę lodu.

Szindżebis zaśmiał się tylko, ale zły Kabinoka nagromadził mnóstwo śniegu i wtargnął do wnętrza namiotu.

Zatrząsał całym legowiskiem i w wielkiej furii zatrzepotał zasłoną wejściową.

Szindżebis nie zatrwożył się. Miał przygotowane cztery wielkie kłody na opał. Każda kłoda wystarczała mu na jeden miesiąc zimy, a prócz tego miał zapas ryb, więc siedział przy ognisku wesoły, jadł, śmiał się i śpiewał.

Gdy Kabinoka zjawił się w jego namiocie, Szindżebis poznał go po chodzie i mroźnym oddechu. Nie przerwał jednak jedzenia i śpiewu, tylko odwrócił płonąca kłodę i podsycił ogień. Snop iskier sypnął w górę, a z czoła Kabinoki, z jego przetykanych śniegiem warkoczy spadły krople potu, jak z gałęzi sosnowych, które poczuły zapach wiosny.

Wybiegł Kabinoka z namiotu pokonany - nie mógł znieść ciepła i wesołej pieśni. Pędził przed siebie, zostawiając za sobą jeszcze twardszy śnieg i jeszcze grubszy lód na jeziorach i rzekach.

Następnego dnia wrócił Kabinoka pod namiot nurka.

- Wyjdź ze swej nory i zmierz się ze mną! - wył dziko. - Wyjdź na błota i mokradła, pokaż swą siłę.

Wyszedł Szindżebis i nagi mocował się całą noc z Wiatrem Północnym, aż poczuł, że straszny Kabinoka słabnie, aż wyczerpany, zmęczony, zbity powlókł się do kraju Wabasso - białego królika. Z daleka słyszał jeszcze śmiech Szindżebisa i jego wesoły śpiew.

SHOONDASI - WIATR POŁUDNIA

Shoondasi, tłusty i leniwy, miał swoją siedzibę daleko na południu, w ospałym, sennym blasku słońca, w nigdy nie kończącym się lecie.

On był tym, co zesłał leśne ptactwo, czerwonogardłe Opechee, niebieskie ptaki Owaisa i jaskółki, a przegnał na północ dziką gęś - Wawę, on był tym, co dał melony, tytoń i owoce w purpurowych kiściach.

Z jego fajki unosił się dym, okrywający niebo mgłą i chmurami, napełniając powietrze senną łagodnością i tworząc na wodzie skrzące załamania.

W biegu łagodnie dotykał poszarpanych wzgórz, a w posepnym miesiącu Śnieżnych Butów przenosił wątle Indiańskie Lato do melancholijnych krajów północy.

Zobojętniały, beztroski Shoondasi miał w swym życiu tylko jeden cierń, w sercu tylko jedno zmartwienie.

Pewnego razu, gdy pędził na północ, ujrzał na ziemi pośród prerii samotnie stojącą dziewczynę, smukłą i wysoką. Szeroka zielona suknia okrywała jej kibić, a jej włosy podobne były do promieni słońca. Całymi dniami patrzył na nią, wzdychał, a serce w jego piersi stawało się coraz bardziej gorące z miłości i tęsknoty.

Lecz Shoondasi był zbyt tłusty i leniwy, aby się do niej zbliżyć. Był zbyt opieszły i wygodny, aby gonić ją i szeptać jej czule, więc tylko spoglądał na nią i wzdychał.

Pewnego poranka spojrział na północ i zobaczył jej złote warkocze zmienione, przykryte bielą, jak gdyby płatkami śniegu.

Lecz Shoondasi był zbyt tłusty i leniwy, aby się do niej zbliżyć.

- Ach, to ty, bracie z królestwa Wabasso, z ziemi białego królika, porwałeś moją dziewczynę! To ty położyłeś na nią swoją zaśnieżoną łapę, zalecałeś się do niej i zdobyłeś ją swoimi opowieściami o Północnej Krainie!

Westchnął nieszczęśliwy Shoondasi, tchnął w powietrze swój smutek i żal, a potem powlókł się dalej nad prerię, ciepły, pełen namiętności, aż powietrze zapełniło się ziarnkami dmuchawca, niby płatkami śniegu.

Na zawsze zniknęła z jego oczu dziewczyna o złotych warkoczach.

Biedny, oszukany Shoondasi! Nie na dziewczynę patrzałeś całe lato, nie do dziewczyny wzdychałeś. To był rosnący na prerii mlecze, który, zdmuchnięty, zniknął na zawsze. Ty zdmuchnąłeś go swoimi westchnieniami - i uleciał w powietrze jak łabędzi puch.

Ach, biedny, oszukany Shoondasi!

WŁADCA WILKÓW

Winnebagowie od najdawniejszych czasów zamieszkiwali południowo-wschodnie prerie, graniczące od wschodu z ludami Dakoty, od północy z Czarnymi Stopami, od południa z walecznymi Siuksami.

Zachodniej części kraju Winnebagowie nie znali. Krainę tę okrywały odwieczne lasy, w których kryli się gołogłowi Irokezi, pożeracze ludzkich serc.

Winnebagowie zamieszkiwali łowne tereny myśliwskie, obfite w bizona, antylopy, a nad brzegami rzek bogate w ptactwo. Wiosną wybierali się na pograniczne tereny Dakoty, gdzie rosły cukrowe klony, z których wygotowywali cukier. W Miesiącu Jagód zaś przynosili się na zachód, gdzie między skałami znajdowały się słone źródła, i tam napełniali skórzane wory drogocennym słonym miazgą, który osiadał na przyźródłanych kamieniach.

Winnebagowie nie znali głodu, a dzieci ich rosły szybko i zdrowo.

Pewnego razu, w dniu, w którym na południu, na ziemiach Komanczów, spadła wielka gwiazda i zatrzęsała światem jak niedźwiedź młodym dębczakiem, w plemienu Winnebagów urodził się chłopiec. Na pamiątkę tego dnia nadano chłopcu imię Spadająca Gwiazda.

Starcy opowiadali wieczorami przy ognisku, spoglądając niespokojnie na wielką łunę na południu, że to Wielki Duch zstąpił na ziemię i że teraz staną się na preriach wielkie rzeczy.

W parę lat później doszły do kraju Winnebagów wiadomości o białych ludziach, którzy są okrutni, zabijają kobiety i dzieci, którzy palą indiańskie osady Makaami, Huronów, Lenapów i niektórych szczepów Długiego Domu, jak Seneka, Kaajuga i Onodaga.

Ci, którzy zdążyli uciec i znaleźli ratunek w głębi puszczy, opowiadali straszne rzeczy o bladych ludziach, którzy posiadają długie kije i rzucają z nich grzmiące pioruny.

W tym to czasie wyrastał Spadająca Gwiazda, a gdy miał czternaście lat - Wielkich Słońc, siły był takiej, że nogami ściskając konia, łamał mu żebra.

Od najmłodszych lat młodzieniec przyjaźnił się z wilkami stepowymi. Poznał ich mowę i potrafił się z nimi porozumiewać. W dniach smutku, co nad plemionami stepowymi zawisł czarną chmurą, pocieszali się Winnebagowie, że Spadająca Gwiazda, który rozumie mowę zwierząt, potrafi obronić swoje plemię przed nieznanymi białymi ludźmi.

Podczas narad nawet wojownicy potężnego plemienia Mandan uważnie słuchali słów chłopca i zawsze stosowali się do nich.

Pewnego dnia, gdy Spadająca Gwiazda wybrał się wraz ze swoimi wilkami na łowy na zachodnie krańce prerii, przyszło nieszczęście - biali napadli na Winnebagów.

W drodze powrotnej Spadająca Gwiazda spotkał nieszczęśliwych niedobitków ze swojej wioski. Obdarci, pokrwawieni, wlekli się małymi grupkami na zachód, do kraju Mandan.

Gorzkie i krwawe było to pierwsze spotkanie z białymi. Młodzieniec spoglądał na odpoczywających przy ognisku wojowników i nie zadawał pytań - wiedział wszystko z ich ran, krwi i twarzy. Wśród uchodźców nie znalazł ani ojca, ani matki.

- Stało się to wtedy, gdy gwiazdy zaczynają gasnąć na północnym niebie - opowiadał jeden z wojowników. - Sen ludzki jest wtedy najmocniejszy, więc nie słyszeliśmy, jak otoczyły nas blade twarze. Obudził nas dopiero huk gromów, które są na ich usługach. Zerwaliśmy się łapiąc za broń, lecz wtedy już połowa naszych ludzi nie żyła, rażona piorunami.

Matka twoja została przebita długim nożem, w chwili gdy ojcu podawała tarczę. Morderca jej padł z ręki twojego ojca, przebity oszczepem.

Wielkim wojownikiem był twój ojciec, dwoił się i troił, tomahawk jego szalał i czynił spustoszenie w szeregach białych. Ramię jego było silne, lecz w końcu osłabło - otoczony

przez duży oddział białych, zginął jak prawdziwy wojownik, z wojennym okrzykiem na ustach.

Spadająca Gwiazda milczał, siedział nieruchomo, wpatrując się w płomienie ogniska, jak gdyby w ich blasku widział jeszcze walczącego ojca.

„Biali skrzyżowali swoją broń z naszą bronią - myślał - zabili mi ojca i matkę, zostałem sam, lecz nie ulękne się grzmiących kijów i ich przewagi”.

Powstał, wyciągnął z kołczanu strzałę i jednym uderzeniem wbił grot w swoje lewe ramię. Trysnęła krew.

Popatrzył młody wojownik w stronę południa, zdjął łuk z pleców i zakrwawioną strzałę wypuścił w kierunku, gdzie biali najeźdźcy zniszczyli jego wioskę rodzinną.

Potem jednym potężnym uderzeniem wbił tomahawk w ziemię przy ognisku. Najstarszy z wojowników podjął go i machając nim nad głową, rozpoczął wokół ogniska taniec wojenny.

Inni przy wtórze głośnych okrzyków wymachiwali oszczepami i tomahawkami, zadając ciosy niewidzialnym wrogom, póki pierwszy brzask nie rozwidnił nieba. Spadająca Gwiazda przywitał wschodzące słońce modlitwą i prośbą o pomoc i wytrwanie w zemście.

- Idźcie na zachód - żegnał swych towarzyszy - drogi nasze się rozchodzą, rozpacz i zemsta zagnieździła się w sercu moim jak sowa w dziupli drzewa. Nie da mi ona spocząć, dopóki będę żył, więc idę na południe ze swoimi wilkami, aby pomścić krzywdę, a wieść o tym rozniosą sępy po wszystkich preriach. Biada białym, nie będą mieli ani dnia spokojnego, ani nocy! Żegnajcie, bracia...

Na domy białych osadników padł strach. Nie było dnia ani nocy, by w którejś z osad nie został ktoś zamordowany. Tajemniczy zabójca pozostawiał ciała swych ofiar najeżone strzałami, z rozplatanymi tomahawkami głowami, ze śladem wilczych kłów.

Opowiadano fantastyczne historie o wilku, który, stojąc na tylnych łapach, naciągał łuk indiański.

Któregoś dnia jedna z kobiet, która w samo południe zbierała chrust na brzegu lasu, przybiegła z krzykiem do osady. Opowiadała, że zobaczyła ogromnego wilkołaka, który zamiast łba miał głowę indiańskiego wojownika.

Wszczęto natychmiast alarm i niedługo potem oddział wojska wymaszerował z osady w południowym kierunku. Wieczorem widać było na północy wielką lunę, a nad ranem kilku zbiegów ze spalonej osady opowiadało straszną historię o wilkach, które podpaliły domy.

Spadająca Gwiazda był nieuchwytny jak orzeł, a przebiegły jak lis. Pojawiał się tam, gdzie się go najmniej spodziewano. Brał swój krwawy haracz i znikał.

Potrafił podkraść się pod najczujniej strzeżone magazyny z bronią; czołgał się jak wąż, wykorzystując każde wgłębienie terenu, każdy kamień, każdy krzak. Z nożem w zębach bezszelestnie podchodził do strażnika, a nim tamten spostrzegł grożące mu niebezpieczeństwo, silne palce wojownika dusiły mu gardło.

A potem słychać było wśród ciszy nocnej krzyki, bezładną strzelaninę w ciemności, a rankiem widniało tylko czarne, dymiące pogorzeliisko.

Całe lato walczył przeciw białym najeźdźcom, zimą zaś, gdy śniegi mogły zdradzić jego ślady i kryjówkę, wracał na zachód do plemienia Mandan i tam odpoczywał nabierając sił do nowej walki.

Białych ogarnęło przerażenie. Mniej odważni pakowali dobytek na furgony i wracali na wschód. W końcu wykryli, że sprawcą tych krwawych czynów jest tylko jeden człowiek i stado dzikich wilków. Lecz nie zdali się na nic najwymyślniejsze nawet zasadzki i pułapki. Spadająca Gwiazda wciąż był nieuchwytny.

Dopiero po wielu miesiącach bohaterski wojownik wpadł w ręce białych. A było to tak:

Pewnego razu postanowił on spalić osadę, leżącą nad rzeką Potomak. Podkraść się do wioski białych od strony zachodniej - tu zostawił wilcze stado. Na dany przez wodza znak wilki miały wśród wycia i ujadania rzucić się na mieszkańców, aby odwrócić ich uwagę od grożącego z przeciwnej strony niebezpieczeństwa.

Młodzieniec jechał wokół osady lekkim klusem, czujnie rozglądając się po okolicy. Mustang zdradzał niepokój; podrzucał głowę, strzygł uszami. Nie opodał strumienia, okalającego osadę od wschodu, wjechali na ścieżkę wydeptaną przez zwierzęta chodzące tędy do wodopoju. Nagle mustang potknął się, a Spadająca Gwiazda przeleciał niespodziewanie przez jego łeb.

Nim zdążył powstać, rzuciło się nań kilku białych i błyskawicznie skrepiło rżemieniami. Spadająca Gwiazda zdołał tylko spostrzec przeciągnięte w poprzek ścieżki i pofarbowane na zielono laso.

Wśród zwycięskich okrzyków poprowadzono go do osady i uwiązano do pala wkopanego na środku placu.

Natychmiast zbiegły się gromady ludzi, by zobaczyć groźnego „wilkołaka”. Wśród szyderstw, drwin i obelżywych wyzwisk obrzucano go zeszlętymi grudami błota.

I tak stał przywiązany do słupa trzy dni i trzy noce, bez jedzenia i picia. A jego spokój i wyniosła duma jeszcze bardziej podniecały nienawiść tłumu.

Czwartego dnia odwiązano go i wrzucono do piwnicy. Dzban wody i kawał zeschniętego chleba przywróciły mu siły. Obmył okaleczoną twarz i położył się na wilgotnej ziemi.

W nocy usłyszał dolatujące z lasu tęskne wycie. Zbliżył się wtedy do maleńkiego zakratowanego okienka i w mrok nocy rzucił głuchy, żalony zew wilczy. Wiedział dobrze, że wierni czworonożni przyjaciele gotowi są tu czekać aż do końca jego dni i gdyby zawołał ich teraz, rzuciliby się do walki, krwawej i beznadziejnej. Nie mógł na to pozwolić. Czuł instynktownie, że nie umrze. Duch Śmierci jeszcze nie pragnął zabrać go w Krainę Spokoju.

Rano rozległ się zgrzyt klucza - otworzono drzwi. Weszło czterech mężczyzn - powiał od nich kwaśny odór okowity. Z wrzaskiem i śmiechem ściągnięto z młodzieńca bluzę łosiową, zostawiając go tylko w legginsach, związano mu do tyłu ręce lassem i wyprowadzono na dziedziniec.

Zrazu oślepił go blask słońca, lecz już po chwili rozejrzał się bystro dookoła. Plac otaczał rozkrzyczany, podniecony tłum mężczyzn, kobiet i dzieci. W oczach ich ujrzał nienawiść, zapowiedź zbliżającej się śmierci.

Przywiązano go znów do pala. Dwóch oprawców ujęło bice i pierwsze ciosy spadły na obnażoną pierś wojownika. Uderzenia posypały się jedno za drugim, ale twarz Indianina nie zdradzała lęku ani bólu. Wśród ostrego świstu i trzasku biczów Spadająca Gwiazda śpiewał o swoim męstwie i nienawiści.

Wreszcie oprawcy opuścili zakrwawione bice.

- Dosyć tej młocki! Na gałąź z tą czerwoną skórą!

- Na gałąź, na gałąź z nim! - zawtórował tłum.

Ktoś przyprowadził konia. Spadająca Gwiazda spojrział i zadrżał z radości.

To był jego koń, czarny mustang, którego wychował od źrebaka i z którym znali się lepiej niż rodzeni bracia. Zwierzę rozumiało każdy jego gest, każde ściśnięcie kolanami, szept czy nawet spojrzenie. Teraz cichym syknięciem nakazał mu spokój.

Związanego wojownika wsadzono na konia, skrupowano mu nogi pod brzuchem mustanga, a na szyję zarzucono dwa lassa, których końce trzymało dwóch ludzi jadących po bokach. Za nimi podążała jeszcze gromada konnych.

Skierowano się na brzeg puszczy, w stronę wielkich buków. Bystre oczy wojownika już z daleka dojrzały przemykające wśród krzaków wilki. Wierni przyjaciele czekali. Wiatr wiał w kierunku lasu i konie nie wyczuwały ukrytych w gąszczu drapieżników.

Gdy wreszcie wjechali między drzewa, młody wódz wydał wojenny zew. Wilki wyskoczyły jak szare błyskawice, rzucając się na przerażonych ludzi. Biali nie zdążyli nawet użyć broni.

Spadająca Gwiazda wykorzystał pierwsze zamieszanie i w szalonym pędzie znikł w głębi puszczy. Nie obawiał się pościgu - wiedział dobrze, że spłoszone konie białych nie pójda śladem wilków.

Wreszcie zatrzymał zdyszanego konia, a jednemu z wilków rozkazał wskoczyć na zad mustanga. Potężny wilczur jednym susem wykonał rozkaz pana. Spadająca Gwiazda podsunął związane ręce do wilczego pyska i rzekł:

- Gryź, szary bracie.

Poczuł ostre kły i ciepły oddech przy swoich dłoniach. Kilka zgrzytów potężnych szczęk, kilka szarpnięć i rzemienie opadły, jakby przecięte ostrym nożem.

Spadająca Gwiazda odwiązał rzemienie krępujące mu nogi, dosiadł konia i pogalopował w stronę Czerwonej Skały. Tam ze szczeliny wydobył łuk, kołczan napełniony strzałami, tomahawk i nóż, zaopatrzył się w krzesiwo i hubę. Skierował się na południe, nad brzegi rzeki Peno-boscot, ku szerokim, wonnym preriom, a jego wierna sfera biegła obok. Po dziesięciu odległościach lotu strzały zwierzęta zaczęły objawiać zaniepokojenie - koń strzygł nerwowo uszami, czujne wilki gwałtownie łowiły nozdrzami wiatr.

Spadająca Gwiazda przystanął na najwyższym wzgórzu i rozejrzał się wokół badawczo. Z dala zbliżała się chmura kurzu, a jego bystre oczy szybko dostrzegły gromadę galopujących jeźdźców.

Gdyby to byli Indianie, jechaliby jeden za drugim omijając wzgórza, posuwaliby się raczej dolinami, aby wyniosłości terenu chroniły ich przed niepożądanym wzrokiem. Tu musieli być biali.

Spadająca Gwiazda gwizdnął ostro i pognął przed siebie jak jesienna burza. Wilki w długich susach sunęły niezmordowanie przy jego boku. Na krótkiej przestrzeni konie białych doścignęłyby zbiega, ale na rozległej prerii nie obawiał się ich. Jego dziki mustang miał niezmordowane serce i gnał jak wichur, brzuchem nieledwie dotykając traw.

Biali, widząc, że nie dopędzą Indianina, że znikł im jak mgła w promieniach słońca, zatrzymali konie i po krótkiej naradzie rozjechali się szerokim wachlarzem.

W pewnej chwili dowódca wystrzelił z karabinu. Na ten sygnał każdy z jeźdźców zatrzymywał się, podpalał trawę i spieszenie zawracał do osady.

Pożar gwałtownie i szybko pożerał wyschłą trawę i krzaki, szerokim łukiem rozlewał się coraz dalej i dalej, tworząc wielkie ogniste morze. Dym czarną chmurą sięgał do nieba i strącał w płomienie przelatujące ptaki.

Zwierzęta w trwodze uciekały przed zagładą. Antylopy biegly razem z wilkami i szakalami, bizona wspólnie z niedźwiedziem szukały ucieczki przed rozszalałym żywiołem, który prześcigał w pędzie najszybsze ze zwierząt.

Spadająca Gwiazda rozumiał, że nie uratuje się ucieczką, że musi znaleźć inny sposób, aby ocalić od śmierci siebie i swoje zwierzęta.

Zebrał wilki w zwartą gromadę, zdjął łuk, do każdej strzały przywiązał pęczek suchej trawy, skrzesał ogień i podpalając kolejno wiązki trawy wypuszczał przed siebie płonące strzały. Po chwili preria płonęła przed nim. Znajdował się teraz pośrodku morza płomieni, jak rozbitek na samotnej wyspie. Ogień, pędzony wiatrem, szybko posuwał się naprzód, zostawiając za sobą zwęglone krzaki i trawy. Indianin ruszył ze swoimi wilkami w ślad za oddalającą się linią ognia.

Był uratowany, wiedział, że ścigające go płomienie zagasną nie mając już nic więcej do pożarcia.

Spadająca Gwiazda postanowił ruszyć do krainy Mandan, aby zebrać swoje plemię.

W dniach długich i samotnych walk z białym najeźdźcą Spadająca Gwiazda zmęśniał, dojrzał i rozumiał to, czego nie mogło zrozumieć wielu czerwonych wojowników i wiele walczących między sobą plemion: aby zwyciężyć białych, potrzeba wielkiego wspólnego wysiłku czerwonych braci. I ogromny smutek ogarnął duszę młodzieńca, gdyż widział, że nie potrafi pogodzić skłóconych plemion i szczepów, by zjednoczyć je przeciw białym.

Oczami swej cierpiącej duszy widział już przyszłość. Widział, jak ojczyste ziemie Indian krwawią coraz bardziej, aż w końcu nie zostaje miejsca na postawienie tipi. Wtedy ostatni Indianin odejdzie do Krainy Spokoju...Nie mogąc pomóc wszystkim swym braciom, postanowił ratować chociaż swoje plemię.

Wywiadowcy plemienia Mandan już z daleka poznali Spadającą Gwiazdę i nim zbliżył się do wioski, usłyszał głos powitalnych bębnow. Powrót wodza uczczono uroczystymi tańcami, po czym on sam musiał odtńczyć Ne-biszesse, obrazując w nim swoje ostatnie przygody, uwięzienie, ucieczkę i pożar prerii.

Gdy wypoczął, zwołał wielką naradę. Zeszli się starzy wodzowie, usiedli wokół ogniska, a za nimi w krąg sławni wojownicy, według zasług i odznaczeń; w orlich pióropuszcach, których każde pióro świadczyło o wielkim czynie, w skalpach bizonich, na których chwiały się za każdym poruszeniem głowy szlifowane cienko rogi, pomalowane na czerwono, w naszyjnikach z niedźwiedzich i wilczych kłów i pazurów.

Czarownik przyniósł kalumet - fajkę przyjaźni, bogato rzeźbioną i ozdobioną orlimi szponami i piórami. Nasypał do niej tytoniu, zapalił, zaciągnął się mocno pukwaną. Wypuścił

dym na cztery strony świata, tam gdzie znajdują się krainy czterech wiatrów. Dmuchał później w niebo, a ziemi matce udzielił resztę dymu.

Fajka krążyła z ust do ust i każdy z wodzów wykonywał te same czynności. Wreszcie, gdy kalumet wrócił do rąk czarownika, Spadająca Gwiazda rozpoczął mowę.

- Dużo zim i dużo lat wojowałem z plemieniem białych ludzi. Od tego czasu wiele upłynęło wody w rzekach, ale moje ramię nie ustało w walce.

Ludzi białych jest coraz więcej, więcej niż trawy na prerii, więcej niż drzew w puszczy. Zrozumiałem, że sam nie dam rady, choćbym ich zabijał dziennie dziesięć razy po dziesięć.

Ludzie biali są mądrzy. Choć pochodzą z różnych plemion, razem jednoczą się przeciw nam. A my? My żyjemy w ciągłej niezgodzie. Biali wykorzystują nasze waśnie i szcują nas przeciwko sobie jak głupie psy, otumanione okowitą.

Wszyscy siedzieli w milczeniu, wpatrując się w drgające płomienie ognia.

Po chwili powstało dwóch wodzów ze szczepu Unela i Sahanasanów i podeszło do Spadającej Gwiazdy.

- Idziemy z tobą. Jeszcze dziś zwiniemy swoje namioty, a twój szlak będzie naszym szlakiem. Weź nasze dzieci i kobiety pod swoją opiekę, a my posłuszni ci będziemy i złączymy swoje ramiona z twoimi, w obronie naszych ojców i matek, w obronie naszych dzieci.

Ognisko powoli gasło, po kolei podnosili się wojownicy z ziemi i odchodzili w mrok nocy.

Rano, nim słońce wzeszło, opuścił Spadająca Gwiazda ze swoimi ludźmi wioskę Mandan. Dołączyli się do niego Złamany Bełt i Czarny Kruk ze swoimi szczepami.

Nikt ich nie żegnał radosnymi okrzykami, w milczeniu szli naprzód.

Pochód prowadził Spadająca Gwiazda z hordą wilków. Kobiety i dzieci siedziały na objuczonych wierzchowcach. Niemowlęta umieszczono w koszach z kory brzozej, zawieszonych po bokach koni. Obok biegly oswojone lisy, niedźwiadki, na zwojach koców siedziało ptactwo. Za kobietami jechali wojownicy Czarnego Kruka i Spadającej Gwiazdy.

Po paru dniach wędrówki zbliżyli się do pasma wysokich gór. Pochód przystanął.

Spadająca Gwiazda wyprostował się na koniu, wznosił ramiona w górę, z ust jego popłynęły słowa modlitwy:

Witamy was, niebosiężne skały, witamy cię, Duchu Gór. Przyjmij nas.

Wy tylko możecie dać nam schronienie

i u ciebie, Duchu, szukamy opieki.

*Chcemy żyć w krainie twojej,
w twoim kamiennym świecie
chcemy żyć. Wystuchaj nas, Duchu Gór.*

Wiatr powiał od śnieżnych szczytów górskich i wydało się, że w szumie wichrów dał się słyszeć głos: „Chodźcie! Chodźcie!”

Na znak Spadającej Gwiazdy pochód ruszył dalej i wkrótce jak kolorowy wąż znikł pośród skał.

Wiatr ustał, cisza zaległa nad górami, słońce opuszczało się coraz niżej. Nim zaszło za szczyty, z głębi skał odezwało się wycie wilka, radosne, pełne siły i życia.

„KB”